

W A N D A Ż Ó Ł K I E W S K A

A W A N S

SZTUKA
W TRZECH AKTACH



1 9 5 1

· C Z Y T E L N I K ·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
JAN S. MIKLASZEWSKI

35824

Redaktor: A. Grochowska

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved

Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik”

Printed in Poland

Składano i tłoczono w Drukarni Nr 3 „Czytelnika” w Krakowie
Zam. Nr 369. 23. V. 1951. Pap. dziel.-żeb. 82 × 104—70g. Nakł. 4.350

Druk uk. 5. VII. 1951

M-2-14856

O S O B Y:

FRANCISZEK BRZOZA	dyrektor fabryki
WOJCIECH MATUSIAK	robotnik
HANKA MATUSIAKÓWNA	jego córka
KOLASOWA	robotnica
SĘDZIK	sekretarz POP
KOTARBA	sekretarz Komitetu Powiat.
ZYGMUNT	młody robotnik, twórca brygady awaryjnej
KOTLARCZYK	tokarz
ZAGAJ	} robotnicy z brygady Zygmunta
POREBA	
BIELUŃ	inżynier, kierownik produkcji
WIŚNIEWSKI	kierownik biura
BEATA SOSNOWSKA	urzędniczka
CIELOCH	dyrektor naczelny CZPM
ZIELNY	inżynier CZPM
KASJER	
SLIWA	} robotnicy
PAWEŁ	
ZAWADA	
WDOWIAK	
STARY ROBOTNIK	
I KOBIETA	
II KOBIETA	

Robotnicy, robotnice

Rzecz dzieje się współcześnie

Ark. 2000-D-82/18

AKT I

Gabinet dyrektora fabryki. Biurko ustawione z boku, nie reprezentacyjnie, lecz użytecznie, z myślą o pracy. Z lewej wokół okrągłego stolika konferencyjnego — fotele klubowe obok zwykłych krzeseł. Na ścianie wykresy, jakiś aktualny hasłowy plakat. W głębi szerokie okno z widokiem na fabrykę. Wejście z lewej do biura, z prawej wyjście na oddziały fabryczne.

WIŚNIEWSKI (*wchodzi z lewej, przez chwilę rogląda się po pustym gabinecie — potem dzwoni na oddział*): Halo! Montażownia? Tu Wiśniewski. Czołem, panie Sliwa. Nie ma tam u was dyrektora? Wyszedł? Dokąd? Do biura się nie wybiera? Ha, ha! No tak, ale tu ma też robotę. No dobrze! (*odkłada słuchawkę*)

KASJER (*wchodzi z lewej*): Pana dyrektora nie ma?

WIŚNIEWSKI: A no, jak pan widzi.

KASJER: Chciałem mu przedłożyć czeki do podpisu. Pojutrze wypłata załogi, a jak do dwunastej nie podejmę z banku pieniędzy — to nie zdążę.

WIŚNIEWSKI: Niech pan zostawi czeki. Przedłożę mu do podpisu.

KASJER (*z uśmiechem*): Pan dyrektor Brzoza nie

może się oderwać od swoich maszyn i warsztatów, co? Myślę, że dla niego, jako dla człowieka, ten awans musi być wartością względną. Jeśli się kogoś odrywa od pracy, w której strawił życie całe...

WISNIEWSKI (*przerywa mu*): Właśnie. Odrywanie się od pracy jest nie tylko przykre, ale szkodzi pracy samej, panie kasjerze.

KASJER: Ze co, proszę?

WISNIEWSKI: Przed chwilą stwierdził pan, że może pan nie zdążyć z wypłatą. Czy listy płacy są już gotowe?

KASJER: (*zakłopotany*): Tak... to jest...

WISNIEWSKI: Proszę je więc jak najszybciej sporządzić.

KASJER: Tak jest, panie kierowniku. (*idzie ku drzwiom, od progu odwraca się*) Pozwalam sobie jednak zauważyć, panie kierowniku, że pracuję w swoim zawodzie czterdzieści lat i pewnego rodzaju napomnienia są w stosunku do mnie co najmniej niewłaściwe... Ja... ja mógłbym być pańskim ojcem.

WISNIEWSKI: Nie jestem pańskim synem, jestem natomiast pańskim przełożonym.

BEATA (*wchodzi z lewej*): Panie dyrektorze... Ach, pana dyrektora nie ma?

Kasjer wychodzi trzasnąwszy drzwiami.

BEATA: Cóż to się stało, Kaziu? Kasjer miał minę tak uroczystą, jakbyście się poróżnili.

WISNIEWSKI: Nudziarz, podkręciłem mu trochę sprężyny, inaczej zagadałby mnie na śmierć.

BEATA: Brzozy nie ma?

WISNIEWSKI: A no, lata po oddziałach. Anty-szambruję tu dziś od samego rana i nie mogę go złapać, by podpisał pocztę. Psiakrew! Bokiem mi to już wyłazi. Mam dość tego wszystkiego, potąd!

BEATA (*siada w fotelu*): Taak. Niewesoło się zapowiada współpraca z tym całym panem Brzozą. Jeszcze przed dwoma miesiącami miałam nadzieję, że nasze stosunki ułożą się jakoś. Nie możesz do niego dobrać klucza?

WISNIEWSKI (*macha ręką*): Nigdy nie podejrzewałem, że nieufność tych ludzi potrafi być tak tępą, tak twardą.

BEATA: Podejrzewa nas? O co?

WISNIEWSKI: Oni to nazywają instynktem klasowym tę swoją inność. Ja go drażnię — czuję to. Drażnię go swoją postacią, głosem, manierami, sposobem myślenia — wszystkim! Niestety: ja i on jesteśmy ludźmi dwóch światów!

BEATA: Kaziu, wyjedźmy stąd!

WISNIEWSKI: Co?

BEATA: Wyjedźmy stąd. Rzućmy tę dziurę, przenieśmy się do Warszawy.

WISNIEWSKI: Myślałem o tym. Ale mimo wszystko utrzymuje mnie tu — właśnie on... Widzisz, nie jest łatwo zrezygnować.

BEATA (*wstaje i podchodzi do Wiśniewskiego*): Ja wiem. Jesteś ambitny i tę twoją ambicję zraniono. Włożyłeś w fabrykę tyle trudu i pracy, a w nagrodę skrzywdzono cię. Ale pomyśl o tym, że twoje zdolności

tu, w tym małym świecie, nie mają miejsca, aby się rozwinąć. Pomyśl — w Warszawie — w Ministerstwie czy nawet w Głównym Zarządzie mógłbyś dopiero pokazać, co umiesz.

WISNIEWSKI: Gwizdzę na karierę! Myślę, że mógłbym wrócić na uczelnię poświęcić się pracy naukowej.

BEATA: Zrób to, Kaziku, zrób to! Przeniesiemy się w inne, kulturalne środowisko. Będę pracowała, pomogę ci.

WISNIEWSKI: Stary Zawistowski wykląda jeszcze. Napisałem do niego. Myślę, że przyjąłby mnie na asystenta — docenturę zrobię w rok...

BEATA: O! Kaziu, jakby to było pięknie! Warszawa... nie widziałam jej cztery lata. Sprzedamy, co mamy, kupimy małe mieszkanie. Wiesz — mówiła mi wczoraj Wielohorska, że jeszcze dziś można w Warszawie świetnie zarabiać tkaniem samodziałów. Kaziu...

WISNIEWSKI: Taak. Czy zrobiłaś sprawozdanie bilansowe, o które Brzoza prosił?

BEATA (*podaje mu zestawienie*): Ziutek! Pojedziemy, prawda? Miły!

WISNIEWSKI: Zobaczmy. Jeszcze tu mam kilka spraw do załatwienia. Potem — zastanowimy się.

BEATA: Tu już życie stało się nie do zniesienia. Nie mamy tu nikogo bliskiego. Budzę się rano z lękiem i ten lęk nie opuszcza mnie przez cały dzień. Od sprawy Zawadowskiego nie umiem sobie znaleźć miejsca — à propos, czy masz już wiadomości...?

WISNIEWSKI (*czytając sprawozdanie*): A no tak. Mam.

BEATA: No i co! Mów... Jak?

WISNIEWSKI: Wczoraj odbyła się rozprawa. (*pauza*) Trzy lata.

BEATA: Jezus Maria! To... to straszne...

WISNIEWSKI: Nie histeryzuj. Uważam, że mogło być gorzej.

BEATA: Więzienie... trzy lata... przecież to okropne... to koniec człowieka.

WISNIEWSKI: A no... zachciało mu się interesów na własną rękę. Myślał, że wszystkich przechytrzy. Mówiłem mu nieraz — dobry gracz umie w odpowiedniej chwili spasować.

BEATA: Boże, jak mi serce bije... Kaziu... a czy ty już z Brzozą mówiłeś? Podpisał to zapotrzebowanie?

WISNIEWSKI: Beato, tylko bez nerwów. Nie wytrącaj mnie z równowagi! Dziś to załatwię. Już. Koniec.

BEATA: Jakżeż się nie denerwować?... Jakże się nie przejmować?

BIELUŃ (*wchodzi z prawej*): A, moje uszanowanie! (*wita się*) Nie widzieliśmy się jeszcze dzisiaj. Dzień dobry, pani Beato! Mówiąc szczerze, to mam do pani pretensję — nasze planowanie nawala! A tak! Naraziliście mnie dzisiaj na nieprzyjemną reprimendę od Brzozy.

BEATA: Co się stało?

BIELUŃ: Dostarczyłem pani elementów do naszego zapotrzebowania na metale szlachetne — prawda? Da-

łem wam przeliczenie jednostkowe i trzeba było je tylko przemnożyć, prawda? I oto pani wydział doliczył się — niech mi pani wybaczy — jakichś bzdur. Brzoza zmył mi dzisiaj głowę — palnął kazanie aż miło, starego inżyniera w kozi róg zapędził, ot co! Wszystko to mam pani do zawdzięczenia, miła pani Beato. Ha, ha!

BEATA: Ależ ja... panie inżynierze... myślałam, że...

BIELUŃ: Wiem, wiem — ja przecież żartuję. To przede wszystkim moja wina, że nie sprawdziłem przeliczeń. Proszę mi na przyszłość przedkładać arkusze produkcyjne do poprawienia. W ten sposób unikniemy pomyłek. To wszystko.

WISNIEWSKI: Pani Beato, pan inżynier Bieluń wykazuje niezwykłą pobłażliwość, ale z przykrością muszę stwierdzić, że jego koleżeńskie ustosunkowanie się do pani nie zmniejsza pani winy.

BEATA: Tak... tak... Ja panów przepraszam. Ja zaraz... sprawdzę. *(wybiega)*

BIELUŃ: Ależ, panie kolego, jest pan za surowy, jest pan za twardy. Jakże można tak...

WISNIEWSKI: Wierzę w dyscyplinę. Bez niej nie ma wydajności pracy.

BIELUŃ *(siada w fotelu)*: No tak, ale poczucia dyscypliny w pracowniku nie można budzić surowością. Poczucie dyscypliny kształtuje się na bazie świadomego stosunku do pracy. Karność, ślepa karność wojskowa w wielu wypadkach zawodzi. Widzieliśmy to nawet w czasie wojny.

WISNIEWSKI: Panu zmył głowę Brzoza — ja mu-

siałem zmyć głowę pani Sosnowskiej — ona jest moją podwładną.

BIELUŃ: Tak. Ale Brzoza zrobił to zupełnie inaczej niż pan. Widzi pan, on mnie nie uraził.

WISNIEWSKI: Widzę z tego, że z dyrektorem Brzozą stosunki układają się panu wyjątkowo dobrze, co?

BIELUŃ: Świetnie. To porządny człowiek.

WISNIEWSKI: Podziwiam pańską pogodę ducha. Musi pan mieć, panie inżynierze, oprócz zdolności technicznych wybitne zdolności pedagogiczne.

BIELUŃ: Ee, a dlaczegoż to?

WISNIEWSKI: Widzi pan, Brzoza nie zna się na administracji nic. Do mojego podwórka się nie wtrąca. Ale za to cały dzień siedzi na oddziałach produkcyjnych i w każdą pańską sprawę wsadza swój nos, prawda?

BIELUŃ: Zupełnie mnie to nie drażni. Przeciwnie. Jego zdrowy sąd, doświadczenie praktyczne w połączeniu z moimi wiadomościami teoretycznymi... *(dzwoni telefon, odbiera Wiśniewski)*

WISNIEWSKI: Halo! Tak, Wiśniewski! Jest, jest. Proszę, oddaję słuchawkę. *(oddaje słuchawkę Bieluńowi)*

BIELUŃ: Tak. Bieluń. No, co tam? Ile? Eech, musieliście się pomylić. To niemożliwe. Dobrze, idę. Już idę.

W czasie tej rozmowy wchodzi z lewej Brzoza.

WISNIEWSKI: Witam, dyrektorze!

BRZOZA: Cześć! Mówiono mi w montażowni, że mnie potrzebujecie.

BIELUŃ: Ja mam do pana kilka spraw, Brzoza. Ale wołają mnie do magazynu. Zaraz wracam. (*wybiega*)

BRZOZA (*siada za biurkiem, naprzeciwko niego Wiśniewski*): Co tam dzisiaj mamy?

WISNIEWSKI (*podaje akta*): Sprawozdanie bilansowe za ostatni miesiąc — podpiszcie, dyrektorze. Sprawdzone.

BRZOZA: Kto to zestawiał?

WISNIEWSKI: Kasjer Rymkiewicz z Beatą Sosnowską.

BRZOZA: Dlaczego nie podpisali się tu na kopii? Mówiłem wam. Niech oni się podpisują, będzie wiadomo, za co kto odpowiada. Ja proszę o parafy.

WISNIEWSKI: Nie obawiajcie się, dyrektorze, możecie im śmiało zaufać. To odpowiedzialni ludzie. Ja ich kontroluję osobiście.

BRZOZA: Kasjera znam. Pięć lat pracuje u nas.

WISNIEWSKI: Macie coś przeciwko Sosnowskiej? Pracuje dopiero 2 lata, ale...

BRZOZA: Ją tutaj do biura wprowadził Zawadowski, prawda?

WISNIEWSKI: Tak. Ale przecież nic jej z nim nie łączyło. Doszły do was jakieś plotki? Ja ręczę za jej uczciwość. Komisja wykryła nadużycia Zawadowskiego jedynie dzięki jej skrupulatności. Jest wzorem pracownika.

BRZOZA (*przegląda akta*): A co to jest?

WISNIEWSKI: List do banku z prośbą o otwarcie

kredytu, dalej sprawozdanie z wykonania planu za ostatni miesiąc.

BRZOZA (*czyta*): No i co? Nieźle, prawda? Następne miesiące będą jeszcze lepsze. Widzieliście wyniki obrabiarek? To teraz najlepszy nasz oddział. Zdrowe chłopaki, ostro zabrały się do pracy. Kto te cyfry zestawiał? A, jest podpis: Ziółowski. To ten młody chłopak w planowaniu?

WISNIEWSKI: Tak, ten młody.

BRZOZA: Dobry chłopiec. Widuję go wieczorami w biurze, pracuje dobrze. Będzie z niego pociecha.

WISNIEWSKI: Niewątpliwie. W ogóle mój zespół urzędniczy ostatnio bardzo się podciągnął. Mamy kilku wzorowych pracowników: Kubiak, Rybarski, Sosnowska.

BRZOZA: A to?

WISNIEWSKI: List do Centrali Zaopatrzenia o miedź. Zwiększamy zapotrzebowanie zgodnie z nową kalkulacją dyrekcji technicznej.

BRZOZA: Nie mamy pieniędzy na robienie zapasów.

WISNIEWSKI: To nie o zapasy chodzi. Ostatnie obliczenia inżyniera Bielunia wykazują w drugim półroczu pokaźny wzrost zużycia metali szlachetnych i musimy...

BRZOZA: Nie, panie Wiśniewski. Ja plany inżyniera Bielunia skontrolowałem — on się pomylił. Już z nim rozmawiałem. On to poprawi.

WISNIEWSKI: Ale w pozycji „miedź” nie było pomyłki.

BRZOZA: Jak to nie było? Ma pan tu w zestawieniu, że prosimy o 2,5 tony, a nam potrzeba niespełna dwie.

WISNIEWSKI: Dobrze. Poprawimy. Dziwię się tylko inżynierowi Bieluniowi. Taki stary fachowiec, a zdarza mu się strzelić byka. Oto korespondencja wejściowa.

BRZOZA: Myślę o tym, panie Wiśniewski, czy nie dałoby się u nas w biurze zorganizować współzawodnictwa pracy. Nie zastanawiał się pan nad tym?

WISNIEWSKI: Współzawodnictwo w biurze? Jak pan to sobie wyobraża?

BRZOZA: Nie wiem jak. Nie znam się na pracy biurowej. Ale wiecie: współzawodnictwo to jakby jakieś światło. Ludzie się uśmiechają podczas pracy i robotą idzie inaczej — pali się w rękach.

WISNIEWSKI: Być może, ale to jest w pracy umysłowej niemożliwe. Praca umysłowa wymaga...

BRZOZA: Niech się pan kiedyś przejdzie po naszych produkcyjnych oddziałach. Od kiedy współzawodnictwo objęło ludzi — jakoś lepiej żyć.

WISNIEWSKI: Pracę fizyczną można normować, pracy umysłowej nie.

BRZOZA: A mnie się zdaje, że te wszystkie papierki, te zestawienia, bilanse, obliczenia — jakoś ocenić się da.

WISNIEWSKI: Ja... panie dyrektorze, pięć lat studiowałem... mam dyplom, niech mi pan wierzy, wiele razy rozmyślałem nad problemami organizacji pracy administracyjnej — mamy w tej dziedzinie olbrzymią

literaturę naukową — ale nigdzie w niej nie ma... tego... o czym pan mówi.

BRZOZA: Ale ta literatura naukowa to jest literatura burżuazyjna, czy nie? Literatury socjalistycznej jeszcze na ten temat nie ma — warto pomyśleć nad tym.

WISNIEWSKI: Hm.

BRZOZA: Ja was jeszcze proszę, panie Wiśniewski, żebyście mi przygotowali do wszystkich pracowników w biurze taki okólnik, w którym będzie napisane, że powinni rano odbijać karty na zegarze kontrolnym. Tak jak robotnicy. Listy obecności zniesiemy.

WISNIEWSKI: Co? Panie dyrektorze, niech pan tego nie robi.

BRZOZA: Dlaczego?

WISNIEWSKI: Z całą pewnością wywoła to niepotrzebne rozdrażnienie. Przychodzimy przecież do biura na godzinę ósmą, a wychodzimy o czwartej. Sam listy sprawdzam. Frekwencja i punktualność jest wzorowa.

BRZOZA: A dlaczego urzędnicy mają mieć inne warunki kontroli niż robotnicy?

WISNIEWSKI: No, bo po prostu... to są pracownicy umysłowi i zawsze tak wszędzie jest, że się ich traktuje inaczej.

BRZOZA: Mylicie się. Różnice między pracownikiem umysłowym a fizycznym stworzył ustrój kapitalistyczny.

WISNIEWSKI: Skoro sobie pan tego tak autorytatywnie życzy — dobrze. Przygotuję okólnik. Ale nie

przekonał mnie pan. A poza tym muszę się panu przyznać, że pańskie stanowisko w tej sprawie obraża mnie.

BRZOZA: Jak to? Dlaczego?

WISNIEWSKI: Jako szef biura jestem odpowiedzialny przed panem za pracę urzędników. I nie uchylam się przed tą odpowiedzialnością. Sprawdzam, kontroluję ich osobiście. Musi pan sprawiedliwie przyznać, że moi podwładni stanowią karny, punktualny i zdyscyplinowany zespół. Kontrolę odgórną muszę przyjąć jako votum nieufności, stawiane personalnie mnie.

BRZOZA: Jestem, panie Wiśniewski, prosty człowiek. Tam, gdzie jest dużo słów, to ja przestaję rozumieć, o co chodzi. Znam ustawę o socjalistycznej dyscyplinie pracy. Pan ją także zna, prawda? Wobec tej ustawy wszyscy są równi, nie ma różnicy między pracownikiem fizycznym i umysłowym, czy nie tak? I nie ma pan, panie Wiśniewski, na fabryce pańskich podwładnych ani moich podwładnych. Są tylko pracownicy, wszyscy równi.

WISNIEWSKI: Tak. Ale przecież to odbijanie kart jest w tym wypadku czymś niepotrzebnym — to jest, powtarzam, sankcja. Kontrola, która może być przez urzędników pojęta jako niezаслужona sankcja karna. Dlaczegoż mamy ludzi zrażać?

BRZOZA: Zrażać się będą tylko ci, którzy nic nie rozumieją. Dla mnie ta urzędnicza lista obecności jest właśnie niepotrzebną kontrolą. Żadna lista nie wprowadzi dyscypliny pracy. Tylko uświadomienie i zrozumienie sprawy. Wszyscy są równi wobec pracy.

WISNIEWSKI: W takim razie muszę się panu

przyznać, że do tych nierozumiejących należę również i ja. *(wychodzi trzaskając drzwiami)*

BRZOZA *(przez chwilę patrzy w ślad za nim. Zamyślenie jego przerywa wchodzący właśnie z prawej Wojciech i jednocześnie sygnał telefonu)*: Siadaj, stary! Halo! To ty Sędzik? No, co nowego? Jak? To świetnie! Dawaj młodych tutaj! Niech przychodzą! *(odkłada słuchawkę)* Zobaczysz za chwilę delegację. Dobrze jest, Wojciech, co?

WOJCIECH: Delegację? Jaką delegację?

BRZOZA: Zobaczysz.

WOJCIECH: Słuchaj, Franek, ty se ze mnie nie dworuj. Jestem przewodniczącym Rady Zakładowej, czy nie? Powinienem wiedzieć, co się na fabryce dzieje? Jaka to delegacja?

BRZOZA: Wojciechu, nie ruszaj ty na mnie wąsami jak kocur. Co się złościś? Zobaczysz delegację sam. I złość ci minie. Przyjmijmy ją obaj, i ty, i ja.

WOJCIECH: Franek, ja do ciebie specjalnie przyszedłem przed zebraniem Rady Zakładowej, żeby z tobą pogadać. Coś mi się widzi, że zaczynamy być ze sobą na bakier.

BRZOZA: Cóż ty wygadujesz, stary?

WOJCIECH: Znasz mnie nie od dzisiaj. Wiesz, że jak mi co na wątrobie leży, to lubię od razu jasno powiedzieć w oczy, co i jak.

BRZOZA: Mów.

WOJCIECH *(skręca papierosa)*: Jak długo się znamy, Franek? Dwadzieścia pięć lat mija w tym roku. Już ludzie mówią, że ci trzeba jubileusz wyprawić.

BRZOZA: Daj spokój, Wojciechu, nie róbcie głupstw.

WOJCIECH: Przyszedłeś na fabrykę w dwudziestym piątym roku, prawda? Najpierw na ślusarni, a potem na szepingu uczył cię stary Sikora, co?

BRZOZA: Tak. Potem Libera kulawiec.

WOJCIECH: Potem robiliśmy już razem. W dwudziestym dziewiątym już byłeś w partii, w trzydziestym czwartym przesiedziałeś rok, a w czterdziestym pierwszym obu nas stąd, z tej fabryki, wzięło gestapo i byliśmy razem w Dachau, co?

BRZOZA: Dlaczego o tym dzisiaj gadasz?

WOJCIECH: No, bo jakeśmy razem na jednym komando przeżyli, pod jednym kocem spali — to teraz możemy też tak gadać do siebie od serca do serca jak wtedy — czy nie tak?

BRZOZA: Mów, Wojciechu!

WOJCIECH: W czterdziestym piątym fabryka była rozbita. Przyszli ludzie i w mróz, i w śnieg zabrali się do roboty. Pamiętasz ich? Sikora, Kotlarczyk, Śliwa, Kolasowa, Siekierczak — co tu liczyć — cała stara gwardia. Towarzysze świadomi. Nie przyszli tylko ci, którzy... Stary Zieliński został w Dachau. Nie mogła przyjść już twoja Ela...

BRZOZA: To już zostaw!

WOJCIECH: I bez pieniędzy zabraliśmy się do odbudowy. Tak.

BRZOZA: I fabryka jest. Nasza fabryka. Idzie.

WOJCIECH: Jak cię przed trzema miesiącami zamianowali dyrektorem, to, pamiętasz, Wańdzia Kola-

sowa powiedziała ci: „Nie zapominaj, Franek, żeś ty nasz, proletariacki dyrektor“.

BRZOZA: Wojciechu, ty zdaje mi się jakieś niewąskie kazanie zacząłeś! Czego ty, człowieku, ode mnie chcesz? Czy zrobiłem coś złego? Krytykujecie mnie? Zdradziłem was, czy co? Cóż ty?...

WOJCIECH: Zaraz, zaraz — nie gorączkuj się. Nic ci złego nie powiedziałem ani nikt o tobie nic złego nie mówi.

BRZOZA: No więc co? Gadaj!

WOJCIECH: Teraz jesteś dyrektor i zarządzasz nami. Wszyscy widzą, że dobrze pracujesz. Dzisiaj inaczej niż za tego drania Zawadowskiego. Ale czy ty, Franek, często myślisz o ludziach, o tych wszystkich naszych ludziach, z których wyszedłeś?

BRZOZA: Wojciech, nie denerwuj mnie. Gadasz i gadasz jak... stary klecha. Mów jasno i prosto, bo ja nie lubię, jak mi kto kij za plecami chowa.

WOJCIECH: A no, zaczęliśmy przed miesiącem rewizję starych norm. Robimy nowe, socjalistyczne normy. Zgoda. Wszyscy starzy stanęli do współzawodnictwa, nie wyłamał się nikt. Na obrabiarkach zmniejszyliśmy normę o 7%, na walcowni o 15%, prawda? Kto to zrobił? Stary Śliwa, Kotlarczyk. Kolasowa.

BRZOZA: No tak. I co dalej?

WOJCIECH: Dalej postawiłeś przy Śliwie brygadę młodzieżową, która od tygodnia chce zdusić normę jeszcze niżej. Po coś to zrobił? Nie dowierzasz Śliwie? Cóż ty, że wsi przyjechałeś, czy co? Na toczeniu się nie znasz? Od miesiąca ten latawiec w ukropie kapany — Zygmunt — dobijał się do Egzekutywy, do Rady,

wszędzie, gdzie mógł, z tą swoją brygadą awaryjną. Rozpatrywaliśmy projekt uczciwie, dokładnie — a ty szast-prast zrobiłeś mu tę brygadę nie czekając na uchwałę.

BRZOZA: Aa... Tu cię boli.

WOJCIECH: A tak. Zebyś wiedział. Franek, jest tak, jakby cię koń zaczynał ponosić. Smarkaczy na starych napuszczasz?

BRZOZA: Wiesz, Wojciechu, gdybym cię nie znał od lat, tobym pomyślał, żeś ty dzisiaj chory. Cóż tobie się przewidziało? Ja młodych — przeciwko starym?

WOJCIECH: Pomyśl o tym, Franek, dobrze, pomyśl dobrze. Może tobie ta sprawa stąd, zza tego biurka, inaczej wygląda. Ale tam, na oddziałach ludzie swoimi oczami patrzą.

BRZOZA: Wojciech, jak mnie mianowali dyrektorem, to pamiętam, że sekretarz Komitetu Powiatowego Kotarba powiedział do was: „Pamiętajcie, żebyście tego waszego... nie wyobcowali, nie zostawili samego“.

WOJCIECH: No i?

BRZOZA (*wstaje, zaczyna chodzić po gabinecie*): No i według mnie — zaczyna się. Już mi powiedziałeś — ludzie na oddziałach patrzą inaczej.

WOJCIECH: A co? Miałem ci tego nie mówić? Chlebem się z tobą łamałem.

BRZOZA: Wojciech, ci ludzie do ciebie to wszystko mówili. Czy tak? Toś ty z nimi tak właśnie mówił...

WOJCIECH: Co mi zarzucasz? Czego ode mnie chcesz?

BRZOZA: Jak już przypomniałeś mi moją nomi-

nację, to pamiętam, że ci na koniec powiedziałem: to ty, Wojciechu, powinienes zostać dyrektorem. Może byłoby lepiej?

WOJCIECH (*wstaje*): Franek, ty mnie nie krzywdź, jam ci nic złego nie zrobił. Cóż ty ze mną jak z wrogiem zaczynasz? Przyszedłem do ciebie jak przyjaciel do przyjaciela, jak towarzysz do towarzysza, a ty...

BRZOZA: Tak, Wojciechu, my obaj jesteśmy w Partii. I nie od wczoraj. Ale powiedz ty mi, dlaczego to wszystko, co się na tej fabryce i poza fabryką dzieje, dla ciebie inaczej teraz zaczyna wyglądać niż dla mnie?

WOJCIECH: Ty Partii do tego nie mieszaj. To za wielka sprawa. Przyszedłem do ciebie, bo szło mi o ludzi, wyłożyłem wszystko prosto na stół, a ty...

Z y g m u n t, H a n k a, Z a g a j i P o r ę b a wchodzą z prawej, za nimi K o t l a r c z y k uśmiechnięty.

ZYGMUNT: Towarzyszu dyrektorze, my z delegacją do was.

BRZOZA: No, co nowego, młodziaki? Z czym przychodzicie? A to i Kotlarczyk, jak widzę, z wami?

ZYGMUNT: Towarzyszu dyrektorze, na zebraniu Egzekutywy ZMP postanowiliśmy, my zetempowcy, zorganizować na montażowni młodzieżową brygadę pracy. Chcemy się zmierzyć z zespołem towarzysza Kotlarczyka.

HANKA: W imieniu kobiet ZMP proszę was, towarzyszu Brzoza, o przeniesienie na montaż i przeszkolenie Marię Zielak, Zofię Siekierko, Jadwigę Zalewską. A ja... (*patrzy na Wojciecha i urywa*)

BRZOZA (*powściągaając radość*): No... a cóż wam tak ten montaż się spodobał, co?

ZAGAJ: Mówiliście wczoraj na zebraniu produkcyjnym, że młodzież przoduje, że na nas, młodych, liczyć. Tośmy uchwalili pomoc i na odcinku montażywni!

KOLASOWA (*wchodzi z prawej*): Hej, a cóż tu za masówka zetempowska u dyrektora? Co tu się stało?

BRZOZA: ZMP deklaruje nową brygadę — tym razem na montażowni.

KOLASOWA: A cóż ty na to, Kotlarczyk? Przyjmujesz? Stefan, trzymaj się teraz, bo ci młodziaki pokażą, jak się motory składa.

KOTLARCZYK: Pokażą mi? Dobrze, niech pokazują. Chętnie popatrzę, tym bardziej że jak słyszę i dziewczuchy mają mi pokazać. Ha, ha, ha!

KOLASOWA: Oho, jaki dowcipny! Widzicie go! Ale poczekaj, ja w młodych wierzę.

KOTLARCZYK: Pewnie. Siekierkówna wcale, wcale...

KOLASOWA: Eh, ty stary, niech się tylko dowiem, że ty z dziewcząt się prześmiewasz...

BRZOZA: Poważnie! Stefan, przyjmujesz wyzwanie?

KOTLARCZYK: No... czemu nie? Zmierzymy się. Załóżcie se, chłopaki, kompresory.

ZYGMUNT: Od jutra?

KOTLARCZYK: Pojedziecie ze mną na obie zmiany, tak?

ZYGMUNT: Aż do nadrobienia norm, zgoda?

KOTLARCZYK: Zgoda.

PORĘBA: My założymy kompresory, towarzyszu Kotlarczyk, ale wy uważajcie, żeby wam się panewki nie wytopiły.

KOLASOWA: Zuch, ale mu przygadał!

KOTLARCZYK: Zobaczymy, zobaczymy.

BRZOZA: Ja wam, młodzi towarzysze, dziękuję. Zatwierdzam waszą brygadę. Życzę wam powodzenia. (*ściska im ręce*) Dziękuję wam, chłopaki!

HANKA: Towarzyszu dyrektorze, jeszcze moja sprawa...

BRZOZA: No i co tam, Hanuś?

HANKA: Proszę was, towarzyszu Brzoza... żebyście mnie... przydzielili do brygady awaryjnej towarzysza... Zygmunta.

KOTLARCZYK: Eh, Hanuś, to ty pierwsza się oświadczasz? Rany boskie, co za czasy nastały!

WOJCIECH: Zwariowała, zwariowała dziewczyna...

KOLASOWA: Cicho, Stefan! Ugryź no się w ten niewyparzony jęzor! Nie kpij! (*do Hanki*) Hanuś, czy twoja prośba była dyskutowana na zebraniu waszego Zarządu?

ZAGAJ: Tak jest. Zarząd ZMP sprawę towarzyszki Matusiakówny popiera.

KOLASOWA (*do Brzozy oficjalnie*): W takim razie ja z ramienia Ligi Kobiet jako członek POP i członek Rady Zakładowej — prośbę Matusiakówny popieram. (*prowokacyjne spojrzenie na Wojciecha*)

WOJCIECH: Co?... Hanka... Franek! Ja się sprze-
ciwiam... nie pozwalam!...

HANKA: Tato!

WOJCIECH: Milcz! Wracaj do pracy. Ja ci zaka-
zuję, rozumiesz?

BRZOZA: Wojciech, zmityguj się. To jest sprawa
służbowa, partyjna.

WOJCIECH: Nie... To jest... jeśli to sprawa Egze-
kutywy... to jest wniosek — niech to Egzekutywa roz-
patrzy. Tak jest! Ja wnoszę to na Egzekutywę!

BRZOZA (*twardo*): Dobrze. (*do młodych*) Dzię-
kuję wam. Wracajcie do pracy. A twoją sprawę, Hanuś,
rozpatrzymy. Nie martw się.

HANKA: Tato...

KOLASOWA: Głowa do góry, dziewczyno. Twój
ojciec nie taki straszny, jak się wydaje z wyglądu.
Damy mu radę.

ZYGMUNT (*do Brzozy*): Dziękujemy wam, towa-
rzyszu dyrektorze!

BRZOZA: Cześć! (*młodzi wychodzą*)

KOTLARCZYK: Ej! Już myślałem, że lada dzień
sąsiedzi zaproszą na weselisko. Za stołem posadzą, go-
rzałki dadzą, kielbasy domowej roboty z pół metra, a tu
masz! Awaria. Nic z tego.

KOLASOWA: Czasem to tak na starość bywa. Mó-
wią ludzie, że od reumatyzmu.

KOTLARCZYK: A no — jak lata miną — to już.
Stary niektórzy nie pamięta, jak sam kiedyś czuł wolę
Bożą i za swoją babą latał. Tak, tak.

BIELUŃ (*wchodzi pośpiesznie z lewej, zdenerwo-
wany*): Brzoza, popatrzcie na to! (*stawia na biurku
tuleje*)

BRZOZA: No? Co? Tuleje korbowodowe SK-10?

BIELUŃ: To już przechodzi wszelkie pojęcie. Szlag
mnie trafi. Musimy wstrzymać montaż.

KOTLARCZYK (*mierzy*): O, do diabła! Przeto-
czone. O cztery setne. Wszystkie takie?

BIELUŃ: Czy wszystkie? Panie, niektóre mają na-
wet pięć setnych różnicy. Rozumiecie? Cały transport
można im zwrócić. Szmec.

BRZOZA: A skąd my to dostajemy? Z szesnastki?

BIELUŃ: Pamiętacie? Pół roku temu była podobna
awantura. Sprawa oparła się o Centralny Zarząd.
Zmyli im głowę. Przez kilka miesięcy byli w porząd-
ku — teraz to samo.

BRZOZA: No i co teraz zrobimy, inżynierze?

BIELUŃ: Cóż tu można zrobić? Telefonuj pan do
Warszawy — wstrzymujemy montaż! Te części przy-
slali nam z dziesięciodniowym opóźnieniem. W maga-
zynie nie ma ani jednej sztuki zapasu. Stoimy z robotą.

BRZOZA: Psiakrew, psiakrew... Nic się nie da zro-
bić? Czy nie można by...

BIELUŃ: Panie Franciszku, niechże pan nie me-
dytuje niepotrzebnie. Nic tu nie poradzimy. Ja już my-
ślałem nad tym. Tuleje mają wewnętrzną powierzchnię
szlifowaną. Są po prostu za luźne i to wszystko.

KOTLARCZYK: A, niech to jasne!... Zeby ich!...

BRZOZA: Zaraz, zaraz. A gdyby tak... powiększyć

średnicę zewnętrzną tulei i wcisnąć ją na siłę... Czy wewnętrzna średnica nie skurczyłaby się? Stefan — co o tym myślisz?

BIELUŃ: Nigdzie ich pan na siłę nie będzie wciskał, tuleje są za duże. Korbówód będzie w nich stukał jak młockarnia.

BRZOZA: A jakby je pochromować?

BIELUŃ: Eee... co?

BRZOZA: Pochromować. W kąpieli. Zewnętrzną stronę pokryje chrom. Wtedy wcisnąć w gniazdo. Może się uda... że... może obraz wewnętrzny skurczy się do właściwego wymiaru.

BIELUŃ: Zaraz... Co? Jak pan mówi? Hm.

BRZOZA: No tak. Ja bym spróbował.

BIELUŃ: A wie pan co, że to jest myśl! To jest myśl! Lecę! *(wybiega)*

KOTLARCZYK: Franuś! Muszę ci powiedzieć, chłopie kochany, że głowę masz nie od parady! Lecę za inżynierem! *(wybiega)*

KOLASOWA *(po chwili milczenia, spoglądając na Wojciecha)*: Ot! Nastroszył się jak sowa i zadowolony, że awanturę zrobił. Chłop.

BRZOZA: Tyle ci tylko powiem, Wojciech, że na naszą poprzednią rozmowę odpowiedzieli ci młodzi i ty sam odpowiedziałeś przed chwilą. Smakuje ci to piwo?

WOJCIECH: Może byście zwołali resztę towarzyszy, bo ja tu przyszedłem na posiedzenie Rady Zakładowej i już czas zaczynać.

KOLASOWA: E, Wojciechu, mam ja ci ochotę coś po partyjnemu wygarnąć, tylko się jeszcze wstrzymuję.

WOJCIECH: No, co? Kontrolę partyjną mi zrobisz?

KOLASOWA: Ty się, Wojciechu, sam skontroluj. Sam pomyśl, czy w tobie wszystko w porządku, czy ty przypadkiem nie rdzewiejesz na starość? Nie zarastasz grzybem?

WOJCIECH: Eh! *(macha ręką)*

BRZOZA: Nie sprzecajcie się. Jesteśmy towarzyszami od lat — a teraz awantury się zaczynają? Co chcecie na naradzie omawiać?

KOLASOWA: Ja mam sprawę współzawodnictwa w lakierowaniu. I powiem o roli kobiet. Uprzedzam — wygarne wam zdrowo, bo nie zmieniło się w kwestii kobiet u nas nic! Jak za sanacji — patrzycie na nas jakby na co gorszego! Każdy z was byle tylko se pożartował z dziewczyną, za przeproszeniem uszczypał — ot jak ten Kotlarczyk — tyle waszego ustosunkowania się!

WOJCIECH *(ze śmiechem)*: Rany, Wanduś, któż cię szczypie?

KOLASOWA: Ty do mnie nie gadaj. Twoja rodzona córka zgłosiła się przed chwilą do brygady awaryjnej, a ty co? Zakazałeś!

WOJCIECH: Ty mi się do mojej Hanki nie wtrącaj! To są moje sprawy rodzinne. To moja córka. Ja ją znam lepiej niż ty.

KOLASOWA: A ja ci, Wojciech, mówię, jak jestem twoją towarzyszką od wielu lat — tak ci zapowia-

dam, że ci właśnie to na zebraniu przed wszystkimi wygarnę.

WOJCIECH: Co?!

KOLASOWA: A tak! żebyś wiedział. Córka — mówisz? Właśnie to. Nie widzisz w niej przodownicy, partyjniczki, wzorowej robotnicy — tylko córkę. Właśnie. A to jest błąd. To jest niepartyjne stanowisko — drobnomieszczańskie, prawe.

BRZOZA: Dajcież spokój!

KOLASOWA: Tak. Właśnie. Zakręć w prawo.

BRZOZA: Towarzysze — narada produkcyjna musi coś ludziom dać, musi ich zmobilizować. Pamiętajcie o tym. Rada to nie jest miejsce, żeby osobiste kawałki odrabiać. O współzawodnictwie — zgoda — o brygadzie awaryjnej Zygmunta — zgoda. Ale na wszystko inne jest Egzekutywa. (*rozkłada ręce*) Wojciech, Wanda, wy sobie do oczów nie skaczcie!

KOLASOWA: Eh, (*śmieje się*) nic mu nie zrobię. Chyba mu kiedy wąsiska wyrwę — ale może i nie. Może wytrzymam.

BRZOZA (*żywo*): Słuchajcie! Chciałbym, wicie, jakoś tak poprowadzić ludzi, żeby wszystkie oddziały mogły ruszyć na pełny gaz! Mamy na fabryce współzawodnictwo, ale to jakoś tak — tak się w tym kręcimy jak w garnku. Może by tak — przerzucić to współzawodnictwo dalej — może by tak wyzwać inne fabryki? Myślę, że gdyby ludzie spojrzeli dalej, poza mury tej fabryki, może by jakoś mocniej wzięli się do kupy. Gdyby zechcieli spojrzeć dalej, byłoby lepiej! Bo wicie, przecież za tą naszą fabryką też są ludzie, też jest socjalizm.

WOJCIECH: Zanim spojrzysz dalej — najpierw u siebie pozamiataj. Nie wszystko jeszcze u nas idzie tak, jak należy.

WISNIEWSKI (*wbiega z lewej*): Panie dyrektorze, panie dyrektorze, w tej chwili przyjechał do fabryki dyrektor Centralnego Zarządu, Cieloch, z jakąś komisją. Właśnie wysiadają z samochodu.

BRZOZA: Do nas? Idą tu?

KOLASOWA: Proszę, proszę — wysoka komisja! To ci dopiero uroczystość!

BRZOZA: Zostańcie. Będziemy z nimi mówić razem.

WISNIEWSKI: No... nie wiem, czy to będzie właściwe, proszę państwa. Może dyrektor Cieloch zechce wpierw...

WOJCIECH: Wiesz, Franuś, może to i racja. Jakby co, to nas zawołasz. Ja tam z dygnitarzami nie bardzo...

BRZOZA (*niezdecydowanie*): Może.

WISNIEWSKI: Wydaje mi się, że będzie najlepiej, jak dyrektor sam ich przyjmie. Czy pan nie wyjdzie do nich?

BRZOZA: Ja? Gdzie?... (*do Wojciecha i Kolasowej*) Dobrze, pogadam z nim sam. Powiedzcie innym, że posiedzenie Rady odkładamy.

WOJCIECH (*do Kolasowej*): Chodźmy, Wanda, chodźmy — idą tu już.

KOLASOWA: Nie widziałam jeszcze takiego wielkiego dyrektora, zaraz, chciałabym go...

WOJCIECH: Chodź! (*wychodzą*)

Wiśniewski wpada przez drzwi z lewej, po

chwili wprowadza z uszanowaniem Cielocha, dyrektora naczelnego Centralnego Zarządu, i inżyniera Zielnego.

CIELOCH: Cześć, towarzyszu dyrektorze. Wybraliśmy się wreszcie, aby wam złożyć wizytę. Nie znamy się jeszcze bliżej — Cieloch. A to inżynier Zielny. My do was...

ZIELNY: Cześć, towarzyszu.

BRZOZA: Siadajcie, towarzysze, proszę. *(wskazuje przybyłym fotele, przystawia krzesło dla inż. Zielnego, po czym zwraca się do stojącego obok Wiśniewskiego. Taktownie, prawie cicho)* Czy chcecie coś jeszcze ode mnie? Bo my... tu... teraz...

WISNIEWSKI *(ociągając się)*: Nie, dziękuję... *(wychodzi)*

CIELOCH: No, ale nim wyłożymy swoje — zacznijmy od was. Jak się wam pracuje, towarzyszu?

BRZOZA: Jakoś wytrzymuję. *(uśmiecha się)* Dziś właśnie podpisałem sprawozdanie miesięczne dla was. Jest trochę lepiej z produkcją.

CIELOCH: Słyszałem. No, a jak ludzie? O robotników się nie pytam — bo to wiadomo, ale jak z administracją, dajecie sobie radę?

BRZOZA: Chyba tak. Z większością dogadałem się już, kilku traktuje mnie jak... dopust Boży. Ale jakoś praca idzie.

CIELOCH: A co z waszym szanownym poprzednikiem? Z Zawadowskim? Siedzi?

BRZOZA: Ma już wyrok: trzy lata.

CIELOCH: Ustrój nierychliwy, ale sprawiedliwy. A Wiśniewski?

BRZOZA: Wiśniewski jest kierownikiem administracji.

CIELOCH: To wiem. Ale jak on się ustosunkował do was? Pracuje z wami lojalnie?

BRZOZA: Tak. Ale nie rozgryzłem go jeszcze. On — jakiś taki, jakby nie nasz.

ZIELNY: A inżynier Bieluń współpracuje z panem?

BRZOZA: Oczywiście... To jest wartościowy człowiek. Dużo wie. Pracuje po naszemu, z sercem.

ZIELNY: Jasne!

BRZOZA: Inżynier Bieluń — pamiętam — przed miesiącem jeszcze waszemu delegatowi mówił o swoim memoriale — o przebudowie montowni. Złożył go u was w Centralnym Zarządzie i dotąd nic — cisza. Co z tym słyhać, towarzyszu?

ZIELNY: Memoriał. My właśnie w sprawie tego memoriału.

BRZOZA: Tak? Dacie nam kredyty na przedstawienie maszyn?

CIELOCH: Do naszej rozmowy obecność Bieluńa jest konieczna, prawda? Towarzyszu Brzoza, wezwijcie go łaskawie, dobrze? No i gdzie ten Kotarba? Poszedł do POP-u po waszego sekretarza i nie ma. Trzeba zaczynać. Czasu szkoda.

BRZOZA *(telefonuje)*: Halo! To ty, Kotlarczyk? Jest u ciebie inżynier Bieluń? Skieruj go do mnie na-

tychmiast. Przyjechali panowie dyrektorzy z Centralnego Zarządu. Już.

KOTARBA (*wchodzi z prawej, za nim Sędzik*): Cześć, towarzyszu Brzoza. Nie widzieliśmy się ładny kawał czasu. Nie zaglądacie do Komitetu.

BRZOZA: Roboty dużo, towarzyszu. A zresztą idzie wszystko jako tako — to i co wam głowę zawracać. Mamy z wami kontakt przez Sędzika.

KOTARBA: Tak się składa, że bywam tu u was na fabryce tylko przy specjalnych okazjach. Dwa miesiące temu byłem na waszej nominacji, a teraz znów dyrektor Cieloch ściągnął mnie tu do przebudowy.

BRZOZA (*zaniepokojony*): Do jakiej przebudowy?

BIELUŃ (*wchodzi z prawej*): Moje uszanowanie panom. (*wita się z Cielochem*) Bieluń jestem. Bardzo mi miło pana dyrektora poznać. A... (*do Zielnego*) to kolega Zielny! A, to naprawdę przyjemna niespodzianka. Witam — witam — tyle lat, drogi kolego!

ZIELNY: Pracujemy w jednej branży, panie Janie, a jakoś dotąd mijaliśmy się.

BIELUŃ: No, właśnie. Przecież byłem przed miesiącem w Warszawie, szukałem was. Byliście gdzieś w terenie. A tak mi zależało i starą przyjaźń odnowić, i mój memoriał złożyć osobiście na wasze ręce.

ZIELNY: Nie spotkaliśmy się, ale wasz memoriał przestudiowaliśmy i oto widzicie nas. Wasza praca wywołała prawdziwą burzę!

BIELUŃ: Co? Burzę? O czym mówicie, kolego?

CIELOCH: No, koledzy i towarzysze, jesteśmy w komplecie, możemy zaczynać. Siadajmy.

ZIELNY (*do Bielunia*): Ja żartuję, kolego. Dowiedzie się wszystkiego za chwilę. Ale fakt jest faktem — od waszego planu się zaczęło.

CIELOCH: Mówicie o planach inżyniera Bielunia? A tak. Złożyliście nam plan przebudowy waszej montażowni, a my z tego zrobiliśmy plan przebudowy naszego przemysłu, co? Ha, ha! A no, tak już u nas teraz bywa — czasem mała inicjatywa od dołu wywołuje lawinę, burzę na całą Polskę, aż grzmi!

BIELUŃ: Słucham, proszę panów, że zrozumiałym zainteresowaniem, ale muszę się przyznać, że nic nie rozumiem.

CIELOCH: Zaraz. Wyjaśnimy wszystko. Towarzyszu Brzoza, jak wam idzie współpraca z innymi naszymi fabrykami?

BRZOZA: A no, jakby to powiedzieć — nieźle, ale i nie całkiem dobrze.

CIELOCH: Co to znaczy?

BRZOZA: Niby już wszystko w porządku, a przecież czasem coś się rwie. Ot, na przykład dzisiaj. Szesnastka ze Starachowic przysłała nam tuleje korbowodowe przetoczone. Musieliśmy sztukować własnym przemysłem. Ale niedalej jak przed tygodniem dostaliśmy bloki do SK-10 nie nadające się. Musieliśmy odesłać.

CIELOCH: Słyszycie, kolego Zielny? Zanotujcie te mankamenty. To charakterystyczne. Towarzyszu Brzoza, a czy wy zdajecie sobie sprawę, dlaczego to tak jest?

BRZOZA: No cóż? Tuleje były przetoczone — to fakt. Może u nich kontrola techniczna nawala.

CIELOCH: Może. Sprawdzimy to. Jeśli to tak jest, dostaną dobrze po uszach. Ale może być również i tak, że oni wam przysłali tuleje nie do SK-10 — rozumiecie? Może oni pomylili zamówienia? Bo oprócz was SK-10-B i PZ-14 składa również i Lublin!

ZIELNY: Tak. To możliwe.

CIELOCH: A jak u was z produkcją, towarzyszu Brzoza?

BRZOZA (*uśmiecha się*): Lepiej, w tym miesiącu złapaliśmy plan — jak się to mówi — za ogon. Montaż osiągnął 106%, rewolwerówki 124,3% szlifiernia 107%, a oddział PZ 108,6%.

BIELUŃ: Przy tym muszę stwierdzić, że wynik montażowni jest, według mnie, wspaniałym osiągnięciem, uzyskanym jedynie nadzwyczajnym wysiłkiem załogi, bo nasze urządzenia, jak to wykazałem w moim memoriale, są...

CIELOCH: Tak. Przekraczacie plan. To dobrze, Ale... proszę towarzyszy... praca w ramach planu sześcioletniego rozwija się. Znacne wskaźniki dla naszej produkcji, prawda? Z końcem naszej sześciolatki produkcja ma wzrosnąć o 350%. Uświadamiacie sobie tę wielkość? Rozumiecie mnie, towarzysze? Za pięć lat musimy produkować trzy i pół raza tyle, co dziś.

BIELUŃ: Tak... (*rozkłada ręce*) Ale to już jest problem inwestycji. Bez rozbudowy...

CIELOCH: Właśnie. Będziemy inwestować, będziemy rozbudowywać nasze fabryki. Ale nasze możliwości inwestycyjne są ograniczone. Nie możemy sobie pozwolić na trzykrotne powiększenie naszych fabryk. Równolegle musi być rozwiązane zagadnienie rezerw.

BIELUŃ: No właśnie. Ale tak, jak to wykazałem w moim memoriale, przy małym nakładzie inwestycyjnym uzyskamy wzrost produkcji o 80 do 90%.

CIELOCH: Drogi inżynierze, sami nie wiecie, co w waszym memoriale było najbardziej cenne. Nie chodzi tu o 80%, bo nam ich potrzeba 350! Wy w swoim planie wykazaliście tak jasno słuszność prawa koncentracji czynności jednorodnych, że natchnieni waszym pomysłem przystąpiliśmy do rewizji naszych planów na odcinku wszystkich fabryk Zjednoczenia, i tego wyniku wam gratuluje. Inżynier Zielny pod wpływem waszego memoriału przewrócił — na razie na papierze — cały nasz przemysł do góry nogami!

BIELUŃ: Jest mi ogromnie miło, proszę panów... ale nie bardzo jeszcze pojmuję... Przed chwilą sądziłem, że... tu chodzi tylko o naszą montażownię.

ZIELNY: Towarzyszu Brzoza, czy wy tu nie macie w biurze wykresu rozmieszczenia wszystkich naszych zakładów produkcyjnych Zjednoczenia? Myśmy je w swoim czasie nadsyłali do fabryk. Pamiętacie, taka duża mapa, grafik?

BRZOZA: Jest. Wisi u nas w Wydziale Planowania.

ZIELNY: Proszę was, każcie to przynieść, potrzebne nam będzie do dyskusji.

Brzoza wstaje, idzie ku drzwiom z lewej, przez próg daje polecenie.

CIELOCH: Cała rzecz w tym, że my jeszcze ciągle nie umiemy dostrzec perspektyw naszego planu w całej rozciągłości. No cóż, przyzwyczailiśmy się, towarzysze,

patrzeć wąsko, na najbliższy odcinek — nie umiemy spojrzeniem ogarnąć całości. Tak też jest i w naszej branży. Patrzymy na poszczególne fabryki — nie widzimy przemysłu.

BRZOZA (*widząc urzędnika, który wniósł grafik*): Jest plan, inżynierze.

CIELOCH: Świetnie. Chodźmy do mapy. No, Zielny, oddaję wam głos.

ZIELNY: No cóż, sprawa jest prosta. Proszę panów spojrzeć na położenie fabryki. Niedaleko was leżą niewielkie zakłady nr 15, nr 13 i odlewnia w Radomiu. Stan obecny jest taki: nowe SK-10 produkuje się u was, ale i w Lublinie, i we Wrocławiu. Nr 12 produkuje dla was elementy, ale niektóre części produkują również i Katowice, i Skarżysko. Każda z fabryk oczywiście ma inne metody pracy. Słowem, mamy produkcję rozproszoną i nieharmonizowaną. Pociąga to za sobą nieuniknione błędy i zahamowania. Wydaje nam się, że tę produkcję trzeba jakoś uporządkować, skoncentrować w najlepiej do tego przystosowanych zakładach. Wasze położenie geograficzne przesądza sprawę. Radom, piętnastka, trzynastka będą produkowały części dla was. Z was proponujemy uczynić centralny punkt tego, o tu — zespołu produkcyjnego.

SEDZIK: Uf! Ulżyło mi. Towarzyszu, słuchając was już myślałem, że powiecie, dyrektorze, na koniec — nie wiem co... A tu, widzę, przyjechaliście do nas z dobrą nowiną! Nasza fabryka — kombinat? To, widzę, wielka sprawa! Jeśli, towarzyszu, chcecie wiedzieć, co o tym już teraz myślę, to mogę wam powiedzieć tylko tyle, że się na naszej fabryce i na naszych

ludziach nie zawiedziecie. My tu od lat sami swoi, świadomi towarzysze.

CIELOCH: Tak. Braliśmy to pod uwagę przyjeżdżając do was. Macie nie tylko załogę świetną pod względem uświadczenia ideologicznego, ale i na czelę — swojego, partyjnego, proletariackiego dyrektora. Liczymy na was. Stajecie, towarzyszu Brzoza, przed poważnym problemem.

KOTARBA: Wierzmy, że Brzoza zda ten egzamin.

BIELUŃ: Zaraz, zaraz, chwileczkę, przepraszam panów, ale jeśli ja dobrze zrozumiałem myśl inżyniera Zielnego — to ponieważ Radom daje odlewy, a nr 15 i nr 13 drobne części montażowe — to... to my mamy być elementem zbiorczym, czy tak? A więc akcent na montaż, tak?

ZIELNY: Tak jest. Przebudujemy was na dużą fabrykę montażową. Elementy będziecie pobierać z tych tu fabryk. (*wskazuje*)

BIELUŃ: No tak. Ale jeśli tak, to mój memoriał, mój memoriał jest, że tak powiem, znacznie zaniżony. Ja przecież planowałem w skali jedynie naszej fabryki.

ZIELNY: Kochany panie kolego, zagadnienie ustawione jest teraz po prostu w innym wymiarze. Wasz plan do naszego stoi w takim stosunku, jak remont mieszkania do budowy nowego gmachu. My tu u was wybudujemy dwie nowe, ogromne hale montażowe — ten wasz stary barak trzeba po prostu zburzyć.

BIELUŃ: No proszę, no proszę...

ZIELNY: A działy obróbki się rozbroi. Obrabiarki weźmie Częstochowa.

BRZOZA (*wstaje z krzesła*): To... jak mówicie? Obrabiarki mogą odejść?...

CIELOCH: Część weźmie piętnastka, resztę może skierujemy do Lublina.

BRZOZA: Mówicie, że... A ludzie?

ZIELNY: Jaki macie teraz stan załogi?

SĘDZIK: Dziewięćset sześćdziesięciu czterech ludzi.

ZIELNY (*zagląda do swoich notatek*): No tak — nowoczesna jednostka montażowa, jaką planujemy, zatrudni ośmiuset ludzi.

KOTARBA: To znaczy, że powyżej stu trzeba wymówić?...

BRZOZA: A wysoko kwalifikowani? Tokarze precyzyjni, szlifierze, mechanicy...

CIELOCH: Tych — którzy się okażą tutaj zbędni, pochłoną zakłady piętnaście, trzynaście i dwadzieścia dwa. Tam ciągle brakuje nam ludzi. Starachowice, Dolny Śląsk.

BRZOZA: Towarzysze. To jest poważna sprawa — a ja... Myśmy tę fabrykę dźwignęli własnymi rękoma, z gruzów. Tu ludzie pracują od lat, tu już synowie, córki uczą się rzemiosła... Zrozumcie. Teraz ludzi chcecie przenosić — obrabiarki zabieracie? Planowaliśmy budowę osiedla... Fabryczną szkołę — a tu wy... To przecież...

CIELOCH (*przyjaźnie*): Towarzyszu Brzoza, my zdajemy sobie z tego doskonale sprawę. My wiemy, co to jest ludzkie przywiązanie do fabryki, do swojego warsztatu, ale musimy już teraz, jako socjaliści — patrzeć inaczej.

BRZOZA: Towarzyszu, ja jestem prosty robotnik — partyjny. Ale... Zrozumcie... Ja się czuję przez moich towarzyszy wybrany... Ja nie mogę sam na siebie tego brać! (*zdecydowany*) Zwołam jutro zebranie robotnicze — i wy to ludziom powiecie!

KOTARBA: Nie, towarzyszu Brzoza. Złe stawiacie zagadnienie: my jutro zbierzemy wprawdzie Egzekutywę partyjną — bo to jest przede wszystkim partyjna sprawa. Zastanowimy się — omówimy to w partii. Potem dopiero pójdziemy do ludzi. Tak jak precyzyjnie obliczacie produkcję, tak samo dokładnie trzeba zaplanować los ludzi. To jest moja sprawa.

ZIELNY: I nie przesadzajmy! Ludzi — to moim zdaniem — nie krzywdzi. Powstanie tu po prostu nowoczesna fabryka. Lepsze warunki pracy. — Lepsze zarobki!

BRZOZA (*z przejęciem*): Zarobki — mówicie? Tu ludzie pracują od lat i tu na tej fabryce strajkowaliśmy, i na podwórzu była ludzi granatowa policja, a potem hitlerowska policja... O fabrykę — nie o zarobki tu idzie!

SĘDZIK (*uspokajająco*): Franek, trzeba to najpierw w Partii omówić na Egzekutywie. (*za oknami głoś syreny*) Franek.

CIELOCH: Co to? Zmiana?

SĘDZIK: Tak. Druga zmiana. Franek...

BRZOZA (*po chwili*): Dobrze. Niech się wypowie Egzekutywa.

Kurtyna

AKT II

Sala narad organizacji partyjnej. Drzwi z prawej i na wprost widza. Wyraźnie słychać puls pracującej fabryki. Na środku sali długi stół konferencyjny. Zygmunt i Hania wchodzi drzwiami w głębi sceny.

HANKA: Nie ma go. Na pewno chodzi z komisją po fabryce.

ZYGMUNT (*ociągając się*): No, to wracajmy do roboty. Przyjdziemy innym razem.

HANKA: A może byśmy trochę zaczekali?

ZYGMUNT: Lepiej... chodźmy.

HANKA: Tak ci pilno? Widać cała nasza sprawa nie jest dla ciebie tak ważna, jak opowiadasz?

ZYGMUNT: Dlaczego tak mówisz? Przecież wczoraj rozmawialiśmy i powiedziałem ci, że zrobię wszystko, co zechcesz.

HANKA: No tak. Ale wygląda na to, żeś się rozmyślił. Przekonywałam cię, przekonywałam i nie przekonałam. Mówię ci tak, jak jest. Ja u twojej matki nie widzę życia dla ciebie... Ani dla siebie.

ZYGMUNT: Nie przesadzasz trochę?

HANKA (*gorąco*): Nie! Jeszcze raz ci mówię. Znam los mojej matki, ojca, brata. Ty wiesz, jak to jest z twoją matką, jak było z twoim ojcem.

ZYGMUNT: Inne czasy, inni ludzie.

HANKA: Inne czasy? Inni ludzie? Tak. To prawda. Masz rację. Oni nie mieli co wybierać. Żyli tak, jak musieli. Ale my możemy wybrać albo gorsze, albo lepsze — od nas zależy. Słuchaj, Zygmunt, oboje dobrze pracujemy, ale umiemy tak mało, że kiedy staje koło nas inżynier, wstyd! Człowiek nie umie się — jak należy — wygadać. Pójdziemy na ~~kurs~~, potem do Technikum.

ZYGMUNT: Hanka! No, moja kochana, nie gorączkuj się tak! Czy ja ci mówię, że nie? Ale fabryka to nie stancja dla uczących się. Tu jest robota. Trzeba ją zrobić. Ja... Nic wielkiego nie dokonałem jeszcze. Dla moich pięknych planów od razu wszystko ma stanąć otworem? A inni, starsi, lepsi nie mają więcej praw?

HANKA: Mają. I my mamy. Ja przecież nie dla garnków, nie dla dogadzania tobie i sobie... ale pomyśl, trzeba będzie trochę miejsca... Żeby stół postawić. Duży stół — do pracy. I półki na książki też by się zdały. Przecież wieczorami trzeba będzie czytać, uczyć się... A fabryka buduje osiedle, więc... nic takiego poprosić.

ZYGMUNT (*zapalając się*): Osiedle buduje się. I szkoła zawodowa. Komisja z Warszawy chodzi po fabryce. Fabrykę mają rozbudowywać. I człowiekowi dech zapiera, jak to wszystko rośnie.

HANKA (*z uśmiechem*): Widzisz! Więc myślisz

o tym, co będzie za rok, dwa, sześć lat. A my? Pomyśl o tym, co z nami będzie za kilka lat? To też plan.

ZYGMUNT: Dobrze będzie. I będę cię kochał tak samo, jak dziś.

HANKA: Nie całuj mnie, wariacie! Sędzik idzie!

Wchodzi Sędzik, rozkłada na stole papiery i ołówki, nie interesuje się młodymi.

ZYGMUNT: Towarzyszu Sędzik! My do was z prywatną sprawą.

SĘDZIK: Towarzysze, nie teraz, nie teraz. Widzicie — za chwilę zaczynamy zebranie Egzekutywy. Przyjdźcie później.

HANKA: Kiedy to — towarzyszu — ważna sprawa. Chodzi o...

SĘDZIK: Rany boskie, zlitujcie się nade mną — nie mam teraz czasu.

ZYGMUNT: My w sprawie mieszkania. Wy na Egzekutywie na pewno będziecie mówić o mieszkaniach, a my...

SĘDZIK: Nie. Nie. Nie będziemy mówić o żadnych mieszkaniach. Mamy ważniejsze sprawy. Plan Sześćioletni. A wy tu o mieszkaniach.

HANKA: Towarzyszu — nasza sprawa też ważna.

ZYGMUNT (*żartobliwie*): I również dotycząca Planu Sześćioletniego.

SĘDZIK: Rany... A też przyczepili się do człowieka jak kleszcze. No, czego chcecie?

HANKA: Chcemy się pobrać, towarzyszu sekretarzu.

Sędzik przez chwilę patrzy na nich osłupiały, po czym wybucha śmiechem.

SĘDZIK: A niechże was. — No, ale na cóż ja wam jestem potrzebny? Gratuluję wam. I cieszę się z was — obojga. Poważnie.

ZYGMUNT: Możemy liczyć na mieszkanie?

SĘDZIK: Co? Tak zaraz? Kiedy ślub? A może byście trochę poczekali? Zasłużyli? WYROBILI jaką normę, co?

ZYGMUNT: Zeby wyrabiać normę, trzeba mieć wprawdzie miejsce pracy, towarzyszu. I dlatego właśnie...

SĘDZIK: Ha, ha, ha! Zuch. *(obejmuje młodych)* Słuchajcie mnie. Będę się bił o mieszkanie dla was, jak o swoje własne. Nie dlatego, że was oboje lubię. Ale dlatego, żeś ty, Zygmunt, przodownik, a ty, Haniu, przodownica. Nasza Polska musi takich, jak wy, hołubić. Zebyśmy się z was całej serii przodowników dochowali. No, ale teraz zmiatajcie do urzędnika Stanu Cywilnego, a mnie dajcie spokój.

HANKA: Towarzyszu, ale jeszcze, proszę, pomówcie z tatusiem.

SĘDZIK *(już na nowo zajęty papierami)*: O czym?

HANKA: No, o naszym ślubie.

SĘDZIK: Co? Ach tak? To ja — prócz mieszkania — mam dla was jeszcze swatem być?

ZYGMUNT: Ja z majstrem Wojciechem rozmawiałem. I skóra na mnie cierpnie — brrr...

HANKA: Tato krzywo patrzy na Zygmunta.

ZYGMUNT: O tę moją brygadę — pewnie zły.

SĘDZIK: Złe go oceniacie. To nieprawda, że Wojciech Zygmunta nie lubi. Ceni cię.

ZYGMUNT: To dlaczego on dla mnie taki jakiś — jak lód?

SĘDZIK: Przygląda ci się. Rozgryza. Pamiętaj, że on Hankę jedną ma.

HANKA: Towarzyszu, pomówicie?

SĘDZIK *(z komiczną powagą)*: Towarzyszu Zygmuncie, towarzyszek Anno. Daję wam partyjne polecenie. Pod rygorem partyjnym. Rozkazuję wam natychmiast opuścić lokal partyjny, wrócić do swojej brygady i dać mi spokój. Już.

ZYGMUNT i HANKA: Tak jest, towarzyszu sekretarzu. *(wybiegają)*

ZYGMUNT *(wraca)*: Chciałem wam tylko powiedzieć, że jeszcze w tym miesiącu postawię montaż Pezetek na 150%. *(wybiega)*

SĘDZIK *(z uśmiechem)*: Zygmunt, Zygmunt! — Poleciał. A ja go, ja go muszę ściągnąć na posiedzenie Egzekutywy. *(idzie do drzwi)*

BIELUŃ *(wchodzi zderzając się z Sędzikiem)*: Panie Sędziku, chciałem z panem zamienić kilka słów przed naradą. Ja już...

SĘDZIK: Wybaczcie, towarzyszu, muszę teraz... zaraz wracam.

BIELUŃ: Już wiem, jak tę nową halę montażową będą... *(Sędzik wybiega)* ...stawiać. Będzie montażow-

nia, palce lizać, psiakrew — pierwsza w Europie. Taka.

WISNIEWSKI (*wchodzi drzwiami z prawej*): Czy pan szanownego naszego dyrektora nie widział przypadkiem?

BIELUŃ: Nie. Jest pewnie w biurze.

WISNIEWSKI: Akurat. On by był w biurze. Lata gdzieś po fabryce. Jego biurko można z powodzeniem sprzedać. Używa go w nocy, aby przy nim spać.

BIELUŃ: Cóż pan kolega wygaduje?

WISNIEWSKI: Poważnie. Wczoraj nasza sprzątaczką zastała go w gabinecie chrapiącego jak tartak. Przespał całą noc z głową na biurku.

BIELUŃ: Pracował w nocy?

WISNIEWSKI (*z ironią*): Widocznie próbował czytać. Zasnął z głową na rozłożonej książce.

BIELUŃ: Może się uczył... A co czytał?

WISNIEWSKI: A wie pan, że nie sprawdzałem. Artystyczne czy też intelektualne zainteresowania pana dyrektora nie obchodzą mnie.

BIELUŃ: Ależ... pan... zjadliwy... Dlaczegoż to tak?

WISNIEWSKI: A pan inżynier, jak widzę, coraz bardziej zadowolony z tego najlepszego ze światów? Czy tak?

BIELUŃ: Wie pan, dziwię się panu. Robi pan wrażenie człowieka z każdym dniem coraz bardziej zawiedzionego. To niebezpieczne.

WISNIEWSKI: Nie rozumiem. Zawsze w życiu

staram się nie mieć zbyt wygórowanych nadziei. Im większe będą nadzieje, tym większe rozczarowania.

BIELUŃ: Zdaje mi się, kolego, że mieliśmy obaj rację przed miesiącem mówiąc o Brzozie, że da sobie radę, co? Nie sypanął się jakoś i nie sygnie, prawda?

WISNIEWSKI: No, to jeszcze kwestia.

BIELUŃ: Ma pan nadzieję?

WISNIEWSKI: Zobaczymy, zobaczymy. Człowieka, który odrywa się od swojej klasy, pożera jego własna klasa.

BIELUŃ: Eh... Czy pan cytuje Marksa? Zdaje mi się, że to jakoś nie tak! (*wychodzi*)

WISNIEWSKI: Zobaczymy. Zobaczysz ty też... stary osle.

BEATA (*wbiega z prawej*): Och, jak to dobrze, że cię wreszcie znalazłam. Dyrektorzy ze Zjednoczenia przywieźli ze sobą inspektora księgowego. Kaziu, umieram z niepokoju.

WISNIEWSKI: Ciszej... Uspokój się... Po coś tu przyszła? Dlaczego histeryzujesz? Idź do swojej pracy i zachowuj się normalnie.

BEATA: No, a te rachunki Zawadowskiego? Jeśli on... Boże!

WISNIEWSKI: Uspokój się. Te rachunki są jak kryształ. Nikt nie może ich zakwestionować.

BEATA: No, a jeśli on sprawdzi ostatnie nasze zlecenia magazynowe na miedź — co wtedy? Na Boga, co wtedy? Kaziu, błagam cię, co ja mam wtedy mówić? Poradź mi.

WISNIEWSKI: Uspokój się. Powtarzam ci — uspokój się. Nic ci się stać nie może. Nawet jeśli wpadnie na te zlecenia magazynowe, to nic nie tłumacz — powiedz, no powiedz, że nie wiesz, o co chodzi. Nic ci nie mogą udowodnić. Zwalimy na Zawadowskiego. I...

BEATA: Boże, ja nie będę mogła... ja... Kaziu... ja wtedy ciebie zawołam... Ty jesteś taki opanowany i mądry, ty sobie dasz z nimi radę, a ja...

WISNIEWSKI: Czyś ty zwariowała? Mnie, mnie chcesz w to wciągnąć? Idiotka.

BEATA: Kaziu.

WISNIEWSKI: Wybij to sobie z głowy — zapamiętaj sobie, że jeśli tylko wspomnisz o mnie, to ja... to ja... palcem w twojej sprawie nie kiwnę. Rozumiesz?

BEATA: W mojej sprawie?

WISNIEWSKI: Nie mieszaj mnie do tego. Nie chcę o niczym wiedzieć. Pamiętaj, że ta sprawa zdarzyła się w okresie, kiedy byłeś u Zawadowskiego szefem buchalterii. Ja o niczym nie wiem.

BEATA (*zasłania twarz rękami, stania się*): Jak ty możesz? Boże...

WISNIEWSKI: Nie rób tu scen. Idź stąd, idź do biura. Na litość Boską, opanuj się, lada chwila może tu ktoś nadejść. Jesteśmy w pokoju Partii. Słyszysz? Natychmiast wracaj do siebie, do biura. Nic nie znajdą. Nic nie mogą udowodnić, Beato. Zresztą niech już będzie — jak przyjdzie co do czego, to możesz się powołać na mnie.

BEATA: Tak cię błagałam, zatrzymaj tę sprawę. Napraw ją.

WISNIEWSKI: Chciałem. Chciałem zwiększyć zapotrzebowanie na miedź. Proponowałem to Brzozie. Nie udało się. Nie podpisał.

BEATA: Kaziu. Jedźmy stąd. Jedźmy stąd. Obiecywałeś, że się przeniesiemy do Warszawy. Dlaczego nic nie robisz w tej sprawie? Masz przecież pod ręką dyrektora naczelnego, pomów z nim!

WISNIEWSKI: Do Warszawy? Ha, ha! A jakże! Rozmawiałem z Cielochem.

BEATA: No i co?

WISNIEWSKI: I co? Potraktowali mnie jak... jak... smarkacza. Podanie kazali złożyć.

BEATA: No i co teraz będzie? Co teraz z nami będzie?

WISNIEWSKI: Zostanę tu. Zostanę. I pokażę temu... Brzozie, co to znaczy być dyrektorem. Wytnę mu takiego figla, że wyleci z siodła jak z procy.

BEATA: Co ty chcesz zrobić?

WISNIEWSKI: To moja sprawa.

BEATA: Co chcesz zrobić?

WISNIEWSKI: Daj mi spokój. Idź stąd.

BEATA: Ja... patrzę na ciebie z przerażeniem. Jak ja mogłam dotychczas tak cię nie znać.

WISNIEWSKI: Kobieto — na litość Boską — czy ty w końcu zostawisz mnie w spokoju, czy nie?

BEATA: Tak. Mam dosyć. Mam dość ciebie i tych twoich spraw.

WISNIEWSKI: Ach tak?

BEATA: Mam dość! Mam dość!

WISNIEWSKI: Beato!

BRZOZA (*wchodzi*): Co się stało?

BEATA: Panie dyrektorze, ja...

WISNIEWSKI (*z naciskiem*): Właśnie przed chwilą przemówiliśmy się, panie dyrektorze, z panią Beatą — to znaczy, musiałem jej zwrócić służbowo uwagę na pewne niestosowności w pełnieniu jej obowiązków służbowych. Dlatego pani Sosnowska jest taka... trochę... zdenerwowana, ale sądzę, że pani Sosnowska jest rozsądną kobietą i nie robi już żadnego błędu...

BEATA: Panie dyrektorze, proszę pana o zwolnienie mnie z pracy natychmiast. Ja już nie mogę — chcę odejść.

WISNIEWSKI: Pani Beato. Zbyt drastycznie stawia pani sprawę.

BEATA: Panie dyrektorze, komunikuję panu, że rzucam pracę.

BRZOZA: Trzeba złożyć wypowiedzenie na piśmie, spokojnie. Nie tak. Ale ja pani zatrzymywać nie będę.

Beata wybiega. Brzoza podchodzi spokojnie do stołu, przegląda papiery nie zwracając uwagi na Wiśniewskiego.

WISNIEWSKI: Ależ to histeryczka... Cóż za afekcja... Ale swoją drogą podziwiam pańską intuicję, dyrektorze. Pamiętam, wczoraj wyrażał się pan o pani Sosnowskiej ujemnie — no i proszę, miał pan rację. Miał pan stuprocentową rację. Samokrytycznie muszę

przyznać, że broniłem jej jeszcze wczoraj, tak jest — broniłem.

BRZOZA: Czy przygotowaliście te zestawienia, o które prosiłem?

WISNIEWSKI: Tak jest, tak jest. Położyłem je panu na biurku w pańskim gabinecie. Nie widział pan ich jeszcze? Może przynieść — będą panu potrzebne na naradzie?

BRZOZA: Nie. Przejrzyć później. Po naradzie.

WISNIEWSKI: A propos narady. Dyrektorze, pozwolicie parę słów? Ja znam zagadnienie — wczoraj miałem możliwość rozmowy z inżynierem Zielnym, którego znam jeszcze sprzed wojny, i on mi powiedział o decyzjach w sprawie fabryki. Dyrektorze, niech pan broni fabryki, niech pan broni ludzi.

BRZOZA (*unoszący ku niemu twarz*): Co?

WISNIEWSKI (*siada na krześle*): Dyrektorze, wybaczyć, że się może wtrącam, ale wierzę mi, pracuję tu trzy lata, przywiązałem się do tej fabryki i naprawdę — możecie mi wierzyć albo i nie — ale jej los leży mi na sercu. Odjęcie produkcji i nastawienie fabryki tylko na montaż oznacza przecie konieczność wymiany całej załogi. Wszyscy fachowcy, wysoko kwalifikowani będą musieli odejść — nie mówię już o naszym biurze technicznym — o naszych konstruktorach, technikach. Ale tokarze, szlifierze, mechanicy — arystokracja — że tak powiem — fachowa arystokracja robotnicza — ci stracą chleb.

BRZOZA: Panie Wiśniewski — to jest poważna sprawa. Za chwilę będziemy nad tym radzić. Będzie tak, jak postanowi Egzekutywa.

WISNIEWSKI (*wstaje godnie*): Powiedziałem panu swoje zdanie, uważałem to za swój służbowy obowiązek. (*wychodzi*)

Wchodzi z głębi: Wojciech, Kottlarczyk, Kolasowa, Sędzik, Kotarba, dyrektor naczelny Cieloch, inż. Zielny, inż. Bielun, Zygmunt, Zagaj. Zasiadają dokoła stołu.

SĘDZIK: Towarzysze, otwieram naradę Egzekutywy partyjnej organizacji zakładowej Państwowej Fabryki nr 7. Witam towarzyszy z Centralnego Zarządu i sekretarza K. P. towarzysza Kotarbę, kolegę Bielunia i przedstawicieli ZMP. Porządek dzienny: jeden punkt, przebudowa fabryki. Proszę dyrektora naczelnego Cielocha o zreferowanie sprawy.

CIELOCH (*wstaje*): Tow. Sędzik zapowiedział mnie tak, (*uśmiecha się*) jakbym miał wystąpić teraz z wyczerpującym referatem. Ale myślę, że to jest niepotrzebne. Myśmy tu już od wczoraj z wszystkimi towarzyszami rozmawiali i wszyscy już wiedzą, o co chodzi. Dzisiaj od rana oglądaliśmy waszą fabrykę i doszliśmy do wniosku, że dobrze trafili. Ten obiekt nadaje się znakomicie do przestawienia. Wasze hale B i C — można tanim kosztem połączyć w jedną. Od północnej strony waszej szlifierni zaczniemy budowę głównej hali montażowej, wyjdziemy z niej — na tamte nie zabudowane parcele. Czy rozumiecie mnie, towarzysze? (*rozkłada plan na stole, pokazuje*) To budynek administracyjny, hale maszyn, kotłownię, tu magazyny, hala B i C jako jedno, tu nowy element — wielka montażownia. Tak. Na jakieś sto pięćdziesiąt do stu sześćdziesięciu metrów, co?

ZAGAJ: Ile?

CIELOCH: Sto pięćdziesiąt do stu sześćdziesięciu metrów, prawda, towarzyszu Bielun?

BIELUŃ: Tak jest. W hali staną dwa olbrzymie transportery wzdłuż osi.

ZAGAJ (*z podziwem*): Do pioruna — Zygmunt, słyszysz?

CIELOCH: I w ten sposób, towarzysze — plan się ostatecznie sprecyzował i wyjaśnił. Teraz trzeba pomyśleć o zrealizowaniu go. Chcielibyśmy zacząć szybko. Dokumentacja techniczna jest, budowę identycznej hali zaczęliśmy we Wrocławiu — tu chcielibyśmy zacząć w sierpniu, może we wrześniu. No, skończyłem. A teraz radźcie, towarzysze.

SĘDZIK: Kto z towarzyszy chce zabrać głos?

WOJCIECH (*wstaje*): Towarzysz dyrektor z Centralnego Zarządu mówił z nami — to prawda. Dzisiaj chodził po fabryce, a teraz tu, na tym stole, wybudował nam naszą fabrykę i już. Załatwione — powiada. Radźmy teraz tylko, kiedy burzyć, kiedy budować — powiada. Ja myślę, towarzysze, że to nie można tak. Co innego ten stół i te plany, a co innego życie, i to żywa fabryka. (*pauza*) Ja, towarzysze, przyszedłem tu na fabrykę dwadzieścia siedem lat temu. Wtedy, wiecie, nie było tego tu budynku ani hali zielonej, w szczerym polu stała tylko kuźnia i mała hala obrabiarek. Przez te dwadzieścia siedem lat fabryka przy mnie rosła. Na halę B sam spawałem tregiery. Warsztaty budowaliśmy sami. A naszą montażownię w czterdziestym piątym, to wiecie — odbudowaliśmy wszyscy razem. Ja też kładłem cegły tymi rękami. Ale, towarzysze — ja nie

jestem murarz, żeby o budynkach wiele gadać. Hala tu, hala tam... to dla mnie wiecie — nieważne. Ważny dla mnie jest człowiek. Ja o ludziach chcę powiedzieć parę słów. Tak, towarzysze, jak ta fabryka rosła, tak myśmy rośli razem z nią. Ty, Brzoza, ileś miał lat, jak tu przyszedłeś? Czymś ty był, jak przyszedłeś do ślusarni? Teraz jesteś dyrektorem i nami rządysz. A ty, Zygmunt — twój ojciec piętnaście lat pracował w tej fabryce i za nią zginął. Wiesz, chłopcze, jak twojego ojca wynosili z naszego Komando — to był cały biały — tylko ręce miał sine od żelaza, od żelaza z tej fabryki. Ty tu teraz terminujesz. Myśmy tu przed wojną, towarzysze, użerali się z kapitalistami. Strajkowaliśmy, bili nas, zamykali. A ludzie w tym wszystkim rośli, towarzysze, rośli na komunistów — świadomych komunistów. W czterdziestym piątym roku objęliśmy tę fabrykę. Nie potrzebowaliśmy papierka z Ministerstwa. Jeszcze wtedy Centralnego Zarządu nie było. My sami wiedzieliśmy, co trzeba zrobić. Objęliśmy fabrykę, wywiesiliśmy sztandar. W nocy bandy z lasu podchodziły pod bramę — strzelali w okna. Zabili nam Ziębińskiego wtedy — pamiętacie? Wybraliśmy się po maszyny na Śląsk, pamiętasz, Kotlarczyk? Obrabiarki, nasze obrabiarki, wywiezione przez okupanta, znaleźliśmy w Saksonii. Sześć tygodni byliśmy na wagonach, w deszczu i mroź... Teraz, towarzyszu dyrektorze, mówicie — hala tu — druga hala tam, a obrabiarki do Częstochowy. Dobrze. Ale ci ludzie przy obrabiarkach, to jak? Czy my o nich też tak powiemy: wynoście się, niepotrzebni jesteście, jedźcie do Częstochowy. W czterdziestym piątym przyszli na fabrykę towarzysze i chwycili się za gruz — płacił im za to kto? Namawiał ich kto do tego? Pracowali. Przecie wiecie: styczeń, luty, ma-

rzec. Ludzie pracowali za zupe z kotła. A ci ludzie, towarzyszu dyrektorze, to są właśnie starzy towarzysze, fachowcy. Taki... Kuzia, Sypień, Krawczyk, Słaby, Kotlarczyk Sliwa... Co będzie z nimi? Wybudujemy halę i wyrzucimy ich za bramę? Towarzysze, powiedzcie, to jest w porządku? Nie. To nie jest w porządku. Nie po to oni stawiali tę fabrykę, nie po to użerali się z kapitalistami, nie po to bili się z okupantem, żeby teraz — w Polsce Ludowej postąpić z nimi tak, jak za sanacji.

KOLASOWA: Wojciech.

BRZOZA: Mityguj się... Wojciech.

SĘDZIK: Towarzyszu Wojciechu, słuchamy was, powiedzcie, co macie na sercu, ale nie gadajcie nam rzeczy, których świadomy komunista nie powinien mówić.

WOJCIECH: Towarzysze, mówię, co mam na sercu. Nie słyszeliście nigdy ode mnie fałszywego słowa. Ale ci tam, nasi towarzysze, którzy nas wybrali — przyjdą jutro i zapytają nas — ciebie, Brzoza, zapytają i mnie, i was: „Coście z nami zrobili?“ Myśmy mówili im o Planie Sześcioletnim, o rozbudowie naszej fabryki. Myślicie o budowie — ale o jakiej budowie? Połowę ludzi z fabryki trzeba będzie zwolnić przez tę budowę. Przez tę nową, piękną halę. O tym teraz trzeba myśleć i o tym trzeba mówić. (siada)

KOTARBA: Sędzik, dajcie mi głos. Ja, towarzysze, słuchałem towarzysza Wojciecha początkowo ze wzruszeniem — znam go od lat i wiem, co on wart. Jemu zawsze na sercu leży los ludzki. Taki on już jest. Ale, towarzysze, teraz zrozumiałem, że w wystąpieniu towarzysza Wojciecha tkwi błąd, błąd niebezpieczny,

błąd partyjny. Bo pomyślcie, towarzysze. Wojciech niby mówił w interesie ludzi. Zgoda. To pięknie. Tu, przy tym stole, nie ma nikogo, kto by się nie troszczył o starych, zasłużonych towarzyszy i o ich los. Ale czy Wojciech doprawdy zastanowił się nad losem towarzyszy? Czy Wojciech zapytał prosto i wyraźnie, co się stanie z tymi, którzy okażą się niepotrzebni w naszej fabryce? Nie. Towarzysz Wojciech wystąpił tu z przemówieniem — pozwólcie to jasno określić — z demagogicznym wystąpieniem, w którym zagadnienie ludzi obrócił przeciw przebudowie fabryki, czy nie tak? Ja w pierwszej chwili nie zrozumiałem tego. Ja przyznaję — wzruszyłem się słowami towarzysza Wojciecha. I teraz widzę, że to był błąd. No, bo jak? Wszyscy wiemy, że zagadnienie załogi istnieje, zebraliśmy się tu przecież po to, aby tę sprawę omówić. Mnie to, jako sekretarza KW, w pierwszym rzędzie interesuje. Ja postawię dyrektorowi Cielochowi konkretne pytanie, co zrobimy z ludźmi, których zwolnimy? Gdzie się ich zatrudni, jakie im da się warunki? To jest ważne. Towarzysz Cieloch musi nam jasno wyłożyć. Nie ogólnikami, nie frazesami, ale szczegółowo. Natomiast towarzysz Wojciech postawił inaczej sprawę. On powiedział tak: pamiętajcie, że jeśli chcecie budować nową fabrykę, to połowa ludzi będzie musiała odejść. I powiedział to tak, że właściwie należałoby porzucić plan przebudowy fabryki. Czy tak, towarzyszu Wojciechu? Czy tak? A więc mamy odstąpić od planu przebudowy tej fabryki, od planu przebudowy naszego zacofanego przemysłu, od planu unowocześnienia produkcji, mamy zostawić wszystko tak, jak jest, nie zaczynać sześciolatki, czy tak? To towarzyszu, wspomnieliście przed chwilą własną drogę. Więcej, wspomnieliście budowanie socjalizmu tu, na tej

fabryce. Ale, towarzyszu, wyście zapomnieli, że i w tej fabryce, i poza murami tej naszej fabryki — także się buduje socjalizm. Wy — biliście się o tę fabrykę — i zwyciężyliście. Macie ją. I mówicie: dość, nie ruszajcie mnie. Nie widzicie już dalej, nie dostrzegacie tego, że poza tą fabryką jest cała Polska, w której trzeba zbudować socjalizm, a za Polską Europa — a za Europą świat, który trzeba dla sprawiedliwości i dla pokoju zdobyć. Oto wasz błąd. Nie widzicie, towarzyszu Wojciechu, dalej — niż ten mur.

SĘDZIK: Towarzysz dyrektor Cieloch ma głos.

CIELOCH: Towarzysz Kotarba zażądał ode mnie konkretnej odpowiedzi na pytanie, gdzie będą zatrudnieni pracownicy, którzy stąd odejdą? Nie mogę dać szczegółowej odpowiedzi, nie mam jeszcze waszej listy zwolnionych, ale w naszym przemyśle mamy zapotrzebowanie na fachowców takie, że musimy doszkalać młodzież w przyspieszonym tempie. Do naszych fabryk górnośląskich i Zagłębia szukamy tokarzy i szlifiery, potrzebujemy ich tam pięciuset do sześciuset rocznie. Wszystkich waszych specjalistów, jakich macie — podejmuję się ulokować w przeciągu miesiąca. A jeśli chodzi o mieszkanie... oczywiście te mieszkania będą lepsze niż tu. Budujemy nowe bloki mieszkalne dla robotników, już według naszych socjalistycznych norm.

KOTARBA: Słyszycie, Wojciechu?

WOJCIECH: Eh... (*macha ręką*)

KOTARBA: Podajecie słowa towarzysza dyrektora w wątpliwość?

WOJCIECH: Nie, towarzyszu. Może to i prawda, co mówi dyrektor. Ale mnie się widzi, że znów my ga-

damy tak, na papierze: tylu ludzi tam, tylu siam, jakbyśmy nity rozdawali. Mówicie „przeprowadzka“, a wiecie wy, dyrektorze, co to jest taka przeprowadzka dla robotniczej rodziny? Z żoną, z dziećmi, często z rodzicami? Przecież w rodzinach pracują, przecie to nie-raz i żona pracuje, i syn, i córka.

KOTLARCZYK: I koza.

CIELOCH: Co?

ZAGAJ: Koza do Katowic? *(ogólny śmiech)*

SĘDZIK: Towarzysze, spokój. Poważnie.

KOTLARCZYK: Ja proszę o głos. Ja, towarzysze, o tej kozie powiedziałem poważnie. Bo widzicie, towarzysze, ja jestem kawaler. Nie mam baby, ale wiecie, widzę przez to czasem więcej niż inni. I widzę kozy u sąsiadów, widzę kury i kaczki, i Bóg wie co. Proszę towarzyszy, to jest poważna sprawa. Wiecie, my tu wszyscy pracownicy na fabryce, a przynajmniej większość — co tu gadać — jeszcze wczoraj — chłopci. My jesteśmy, wiecie, jak to na kursie partyjnym uczyliśmy się — sproletaryzowani chłopci w pierwszym pokoleniu. I Wojciech może nie bardzo o tym myśli, ale on ma gospodarną żonę — nie gniewaj się, Wojciechu, ja ze szczerego serca — a ona gospodaruje. Przecie wieprzka macie w komórce. Prawda?

WOJCIECH: No i co, że mam, czy to jest sprawa na dziś? Cóż ty wyciągasz mój dom na wierzch? O fabryce mowa, a nie o...

SĘDZIK: Towarzysze, spokój.

KOTLARCZYK: Nie gniewajcie się, Wojciechu, ale wiecie, jak kto ma wieprzka... to o sobie myśli. I...

WOJCIECH *(wstaje)*: Ja, towarzysze, na poważną naradę przyszedłem. Niech mnie ten Kotlarczyk tu nie wykpiwa, bo ja mu nie swat.

SĘDZIK: Wojciechu, nie macie głosu. *(Wojciech siada)*.

BRZOZA: A ty, Kotlarczyk, mów bez prześmiechu.

KOLASOWA: Stefan, odstąpisz mi głos? Skończę za ciebie.

KOTLARCZYK *(siada)*: Mówcie, towarzyszeko.

KOLASOWA: Wojciechu, ja tu dwie sprawy widzę. Jedną, o której Kotlarczyk mówił. Sprawa ludzi, sprawa ich życia, sprawa ich domów. Ja się z Kotlarczykiem nie zgadzam. Robotnik ma prawo do domu, do ogródka, do wieprzka, do kozy. Inna rzecz, kiedy? Czy już dziś, teraz, o to wszystko trzeba się bić, bo to najważniejsze, czy też trochę poczekać. Może poczekać. Ale to, widzisz, Wojciechu, nie tylko to. Jest jeszcze ta druga sprawa, zupełnie jasna. Żeby wszystkim było dobrze, trzeba walczyć. Ty przecie o tym wiesz. O tę szczęśliwą przyszłość bije się Partia, walczą członkowie Partii, walczą aktywiści. Partyjnemu nie wolno teraz obrastać w bety, kury, kaczki. Bo walka klasowa trwa, bo jesteśmy na froncie, bo Plan Sześcioletni to bitwa! A ty, Wojciechu, jesteś aktywistą!

KOTLARCZYK: Z ogródkiem!

WOJCIECH *(oburzony)*: To wy myślicie, że ja o ten swój ogródek stoję? Przecie on nie mój — przecie ja na nim wieczorami, po pracy... Eh, ludzie, wy... mówicie tak, jakbyście nie mieli oczu, jakbyście gdzieś z książek tylko znali świat. A co w tym złego, że się robociarz dorabia? Czy to źle? Czy w so-

ejalizmie dorobku nie będzie? Akurat ci, których stąd pędzić będziecie, to starzy pracownicy, starzy fachowcy, starzy majstrowie. Tak jest. Mają gospodarstwa niektórzy, przecie to nie ukradzione, ale własną pracą wyrobione. I to mają rzucać? Młody dorobić się może gdzie bądź. Wszyscy zaczynali od niczego, ale starzy, zasłużeni — oni właśnie mają iść precz? Na wander?

ZYGMUNT (*podnosi rękę prosząc o głos*): Ja, proszę towarzyszy, słucham o starych, zasłużonych tu, na fabryce. Ja bym chciał powiedzieć kilka słów. Nikt nie chce, żeby starzy szli precz — starzy są nam potrzebni, bo nas uczą. Jak ja słucham o tym, że tu z tej fabryki ludzie mają odejść, to ja tego nie mogę zrozumieć. Ilu ich ma iść? Czy wszyscy mają iść? Czy połowa? Ilu? I ja jeszcze jednego nie mogę zrozumieć. Czy jak kto był tokarzem przez pięć lat, to czy on nie może być na przykład brygadzystą w montażowni? Czy jak? Czy przy montażu nie potrzeba fachowego oka? Ja tego, towarzysze, nie rozumiem. A teraz terminuję na rewolwerówce — ale zgłosiłem pomysł stworzenia brygady awaryjnej. Towarzysz Wojciech początkowo nie chciał tej brygady. Przeszkadzała mu — bo mówi — co to za robota takie przerzucanie się z oddziału na oddział. A ja wiem, że to jest potrzebne, to jest konieczne, bo to dotyczy właśnie całej fabryki. I według mnie, to jest właśnie robota. A nie to stare cechowe terminowanie. Ja i tak chcę być inżynierem technikiem, a nie majstrem na rewolwerówkach. Mnie w głowie ustawienie rewolwerówek w gniazda... takie... które by... bez człowieka... (*macha ręką*)

ZAGAJ: Ja, proszę towarzyszy, też muszę powiedzieć, że jak szło u nas ze współzawodnictwem, to starzy

panowie majstrowie kręcili nosami i wydziwiali. Musieliśmy się przez nich przebijać na siłę. A i dziś — kto pcha robotę naprzód? Młodzi. I my, młodzi, nie boimy się przebudowy. Myślę, że zasługi zasługami, ale jak stary robotnik nie umie po dzisiejszemu myśleć, to i zasługi maleją, a i szkodliwy być może.

BRZOZA: Spokojnie, towarzyszu Zagaj.

WOJCIECH (*wstaje*): To ja już chyba, towarzysze, pójdę też z fabryki — razem z innymi. Widać dosłużyłem swoich lat — wysłużyłem się. Dziś do ZMP nie będę już wstępował. Swoją drogę już odbyłem. Tylko wam jedno mówię, towarzysze: brońcie fabryki, brońcie ludzi.

BRZOZA (*wstaje gwałtownie*): Wojciech, ja dzisiaj jeszcze sam miałem wątpliwości. Wiesz, wczoraj tak samo myślałem, jak ty. Brońcie fabryki, brońcie ludzi. Ale wiesz ty, Wojciechu, od kogo ja to już dzisiaj słyszałem? Te same słowa? Od pana Wiśniewskiego w biurze. On mi powiedział: „Broń pan fabryki.” Ja wiem, on jak to powiedział, to nie o tym myślał — nie o fabryce. Bo dla niego fabryka to... Eh, Wojciechu, ty nie masz racji.

WOJCIECH: To ty... to ty mnie z Wiśniewskim równasz?

Wychodzi w prawo. Obecni w milczeniu patrzą za nim.

Kurtyna

AKT III

Fragment starej hali fabrycznej. W głębi widoczna konstrukcja nowej hali montażowej, z lewej wielkie skrzynie. Na środku ukosem drewniany wyciąg. Nie ma tu stoisk pracy. Szum obrabiarek, dźwięki młota, uderzającego w stal, dochodzą gdzieś z lewej.

ROBOTNIK *(wprowadza Sliwę, wskazuje na telefon)*: Tu, na tym aparacie. Dzwonią do was z biura.

SLIWA: Halo, tu Sliwa. Tak. Słucham. Niech się pan nie boi. Ten pański papierek nie jest ważny. Ważna jest sprawa ludzi. Nie, nie powiem. Nie, nie pokażę. Oddam panu później. Tak. *(wychodzi machając lekceważąco ręką)*

KOLASOWA *(wchodzi z Sędzikiem)*: Towarzyszu, mam do was sprawę.

SĘDZIK *(wesół)*: Słyszeliście już o brygadzie Zygmunta? Zuch chłopak. Zakasował inżynierów z Warszawy z kretelem. Obliczyli, że frezarki ładować będą osiem dni, a on to zrobił w czterdzieści osiem godzin. Słyszeliście? A ta Hanka Wojciechowa — eh, to ci dziewczyna. Posłaliśmy komunikat do „Trybuny”. Na zebraniu załogi trzeba o niej powiedzieć, to wzór.

KOLASOWA *(natarczywie)*: Towarzyszu, mam do was poważną sprawę.

SĘDZIK: No, mówcie, tylko prędko. Bo ja do Brzozy muszę iść.

KOLASOWA: Właśnie o nim. Słuchajcie, coś niedobrego dzieje się na fabryce.

SĘDZIK: Gdzie, co?

KOLASOWA: Wiecie, jaka jestem. Ja fabrykę znam i ludzi znam. Coś niedobrego się dzieje.

SĘDZIK: No?

KOLASOWA: Już od kilku dni coś czuję w powietrzu. Ludzie na oddziałach szepczą po kątach. Mówię wam, coś się szykuje.

SĘDZIK: Towarzyszko Kolasowa — mówcie wyraźnie, o co chodzi?

KOLASOWA: Znać mnie. Kiedyś tu na fabryce też tak bywało. Tylko że wtedy ja tak z towarzyszami gadałam, zmawiałam się. A gdy nadzorca przychodził, to... A dzisiaj oni przede mną tak — przede mną... milkną.

SĘDZIK: Kto?

KOLASOWA: Przed kilku dniami, w szlifierni, jak weszłam, stoją pod filarem Zawada, Wdowiak, Maciak, obok nich kilku ludzi, a stary Śliwa coś im klaruje, tłumaczy, jak weszłam — rozeszli się.

SĘDZIK: To prawda, czujni musimy być. Śliwa, wiem, reakcyjne bzdury czasem wygaduje. Ale to przecież stary nasz kolega. Czyżby on?...

KOLASOWA (*wzburzona*): Rozumiecie? przede mną umilkli. Starzy robociarze, znają mnie od lat, a kryją się, jakbym ja im wrogiem była, jakbym ja ich szpiclowała. (*ocięra łzy, Sędzik słucha uważnie*) Ja tę

fabrykę czuję tu. Tu ją czuję. (*wskazuje na pierś*) Ja wam to teraz, jako sekretarzowi partii, mówię. Jest dzisiaj tak, jakby się awantura szykowała. Więcej nie wiem nic, ale czy czasem to nie Wojciechowa robota?

SĘDZIK: Czyja? Wojciechowa?

KOLASOWA: A tak. Jak poszedł z fabryki, to ludzie o nim niestworzone rzeczy mówią, żeśmy go wygryźli, żeśmy go starego wyrzucili. Żalują go. A równocześnie od tego czasu mówią o Brzozie najgorsze rzeczy — słyszeliście? Mówią, że się za dyrektorstwo sprzedał, że ludzi się zaparł...

SĘDZIK: No tak, ale cóż tu Wojciech... może...

KOLASOWA: Towarzyszu, mnie nie łatwo o tym mówić. Wiecie, jak żyłam z Wojciechem. Ale co prawda, to prawda. On teraz dla ludzi męczennik, a Brzoza wróg. Jeżeli on z ludźmi tak gada... to...

SĘDZIK: Nie wierzę. Nie wierzę, żeby Wojciech ludzi burzył. Nie wierzę.

KOLASOWA: Ja wam swoje gorzkie myśli powiedziałam. Nie wiem, czy tak jest, ale wy prowadzicie Partię u nas. To trzeba wyświecić.

SĘDZIK: Pójdę do Brzozy z tym. Zwołamy Egzekutywę. Omówimy to.

KOLASOWA: Zróbcie z tym, co uważacie. Może ja ciężko teraz Wojciecha skrzywdziłam, ale myślę, że trzeba.

SĘDZIK: Dobrze. Musimy to wyjaśnić — co i kto.

Bieluń wchodzi z Zygmuntem, Hanką, Zagajem i Porębą.

ZYGMUNT: Inżynierze, posłuchajcie. W narzę-

dziowni znalazłem motorek. Wmontujemy go do windy, rozumiecie? I teraz tak: zbudujemy sanie na wałkach stałych. Nie będziemy podkładali rolek, to głupie, ludzie zdzierają się przy tym i dłużej to trwa. Tam, przy kotłowni, zmontujemy wielokrążek. A linka ciągnąca przejdzie tu od hali do kotłowni i na rampę. Rozumiecie mnie? Winda pociągnie rewolwerówki na saniach wpierw do kotłowni, ominiemy przez to warsztaty. A później przerzucamy blok — tak — i wprost na rampę, na wagony. Proste? (*gestykuluje żywo*)

BIELUŃ: No, świetnie. Bardzo dobrze. Nie mogę wam zaprzeczyć pomysłowości.

POREBA: A czy rewolwerówki przejdą przez te drzwi?

ZAGAJ: To nieważne: wyjmemy drzwi i rozbijemy mur.

POREBA: Co? Mur będziesz rozwaląć?

ZYGMUNT: A pewnie, że rozbijemy. Cóż wielkiego mur! Wybijemy metr muru i gotowe. Po demontażu naprawimy.

BIELUŃ: Słusznie, słusznie.

ZAGAJ: Cie... ślag... Można i tak.

BIELUŃ: Obliczyliście czas? Przeprowadziliście kalkulację?

ZYGMUNT (*z uśmiechem*): To już twoja robota, Hanuś. Oto kalkulatorka i rachmistrz brygady. Ja myślę, że to nie wyniesie więcej jak dziewięć tysięcy i nie powinno trwać dłużej niż czternaście dni.

POREBA: He, he, znowu nabijemy inżynierów. Słyszeliście, co oni wczoraj na naradzie mówili? De-

montaż ma trwać miesiąc i kosztować czterdzieści pięć tysięcy. To ci norma, kurcze — pałasz! Damy im normę. Czternaście dni. Górą brygada!

BIELUŃ: Ho, ho. Zabieracie się do bicia nas? Starych?

ZAGAJ: Ech, panie inżynierze. O panu się nie mówi. Pan jest...

BIELUŃ: No, kto? Inżynier — stary kwalifikowany inżynier. A wy...

POREBA: Ale pan jest — swój chłop. Nie gniewajcie się na nas, że my tak mówimy. Ale przecież wiecie: cenimy was, szanujemy was. Wy jesteście — nasz.

BIELUŃ: No, tego... Hm... mnie się też wydaje, że jestem wasz...

ZYGMUNT: Panie inżynierze — chłopaki, chodźmy na maszynownię. Obliczymy ciężar ładunków. (*odchodzą*)

KOLASOWA (*wchodzi*): Hanka!

HANKA: A... towarzyszka Kolasowa, dzień dobry.

KOLASOWA: Czekaj no chwilę, dziewczyno. Chciałam cię zapytać — widzisz się z ojcem?

HANKA: Nie.

KOLASOWA: Nie jesteś z nim? Nie rozmawiasz?

HANKA: Przecież wiecie. Jak tatuś poszedł z fabryki — mnie kazał też iść. Oparłam się. Skrzyczyał mnie. Obraził. Ja teraz jestem z Zygmuntem.

KOLASOWA: Wyszłaś z domu. Mieszkacie razem?

HANKA: Tak. I już chyba tak zostanie.

KOLASOWA: Wojciech zaparł się korzeniami w grunt i ani go ruszyć, tak?

HANKA (*z przykrością*): Przed dwoma tygodniami poszłam z Zygmuntem do domu. Wygnał nas, przeklinał, a przecież ja wiem, że robię dobrze. Przecież ja życie i ludzi znam. Nie pomyliłam się — Zygmunt jest... dobry.

KOLASOWA: Tak jest, masz rację. Twój Zygmunt to porządny chłopak. Rzetelny komunista. Prawda jest po twojej stronie. Jak złapałaś szczęście, to je trzymaj. Ale... słuchaj, Hanuś... czy Wojciech widuje się z ludźmi z fabryki? Przychodzą do niego?

HANKA (*ze zdziwieniem*): Nie wiem, dlaczego pytasz?

KOLASOWA: Bo widzisz — jego kumotry tu po fabryce ferment roznoszą.

HANKA: Nie wiem, czy się z nimi widuje. Jak byłam u niego, to taki był, jakby chory, nie ogolony, samotny.

KOLASOWA: Gryzie go to, co zrobił. Ja wiem. I ja u niego byłam. Nie chciał ze mną gadać. Ale wiesz, jeśli on z nami, swoimi starymi towarzyszami nie gada, tylko z tamtymi tam — plotkuje i podburza ich, to...

HANKA (*z oburzeniem*): Co wy gadacie? Tatusz miałby ludzi burzyć? On?

KOLASOWA: Nie wiem, nie wiem. Ale tak to już z chłopami jest. Czasem mogłabyś dać głowę za takiego, a jemu coś do łba się wbije i już cały świat do góry nogami przewraca.

HANKA: Ale nie ojciec. Nie mówcie o nim tak.

On na fabrykę wróci, on nie może bez niej żyć. Ja to wiem. Łamie się — gryzie go to. Matka opowiadała mi, że po nocach nie śpi.

KOLASOWA: Nie chcę o nim mówić ani myśleć źle. Ten twój stary to kawał mojego serca, dziewczyno.

ŚLIWA (*wchodzi z Pawłem, Zawadą, Wdowiakiem i innymi*): Czekaście, zapytamy się jego Hanki... A... towarzyszka Kolasowa tutaj? Witamy towarzyszkę. Co słyszeć nowego? Nie ma nic nowego? Nie przebudowuje się niczego nowego u nas? (*Kolasowa wychodzi bez słowa*) A, Hanka, gdzie ojciec, cóż?

HANKA: Gdzie ma być? W domu.

ŚLIWA: W domu? To nie wyjechał? Paweł, słyszysz? Coś tu nam bredni naopowiadał, że Wojciech już...

PAWEŁ: Jak mi powiedział, to powtórzyłem.

ŚLIWA: Słuchajcie, chłopcy. Jeżeli Wojciech jest, to trzeba go tutaj ściągnąć. On tu teraz musi przyjść. Paweł, idź do niego. Teraz, zaraz. Nie dawaj się bujać. Jeśli jest, wejdź do domu choćby na siłę. Powiedz staremu o wszystkim. Powiedz mu, że za nim cała fabryka stoi jak mur. (*Paweł odchodzi*)

HANKA: Co się stało?

ŚLIWA: Co się stało, pytasz? Ładnie twojego ojca wykierowali. Ładnie wykierowali nas wszystkich. Psiakrew.

HANKA: O czym mówicie?

ŚLIWA: O czym mówią? Usłyszysz sama. A ty... też... Twojego ojca wygnali jak psa. UB mu głowę zaatakowało, wykończyli twojego ojca. A ty co? Do ZMP, do

brygady awaryjnej, pchasz się w górę, co? Dobra z ciebie córka, dobra!

ZAWADA: Z Zygmuntem normę wyrabia, co noc.

HANKA: Jakie UB? Przecież ojciec sam poszedł z fabryki.

ZAWADA: Sam poszedł? Po dwudziestu pięciu latach sam poszedł?

HANKA: Ludzie! Głupstwa mówicie, kłamstwa mówicie. To nieprawda, wszystko nieprawda.

SLIWA: Kłamstwo nam zarzucasz? Ty, smarkuło, ty, ty dziwko. Kłamstwa? Już tylko tamci dla ciebie prawdę mówią? Kolasowa, Sędzik i Brzoza, tak?

HANKA: Kłamstwo, kłamstwo!

ZAWADA: Ty, żebyśmy tobie... milcz!

ZYGMUNT (*wbiega*): Hanuś. Co... co się tu dzieje? Co wy od mojej dziewczyny chcecie? No?

WDOWIAK: Patrzcie... przyszedł gieroż... bohater... cholera.

SLIWA: Chodźmy stąd. Nie czas na awantury. (*wychodzą*) Nie czas.

ZYGMUNT: Co to było, Hanuś? Czego oni od ciebie chcieli?

HANKA: Zygmunt... O Zygmunt...

ZYGMUNT: Co ci powiedzieli? Mów! Ja im tego nie daruję. Mów!

HANKA: Zygmunt, Kolasowa nie miała racji, ale trzeba zrobić coś...

ZYGMUNT: Dziewczyno, gadaj, o co chodzi?

HANKA: Ludzie się burzą. Ktoś tu robi jakąś wywrotową robotę, rozumiesz?

ZYGMUNT: Co, ci starzy?

HANKA: Nie wiem, nie wiem. Słuchaj, trzeba to natychmiast Brzozie powiedzieć i Sędzikowi. Tu Partia musi natychmiast... (*syrena daje trzy długie sygnały*) Słyszysz, Zygmunt, co to znaczy?

ZYGMUNT: Dzwon do Sędzika. Ja lecę do dyrekcji. (*wybiega*) Awaria albo — psiarew!

HANKA (*do telefonu*): Sędzik, Sędzik. Czy towarzyszy Sędzik? (*ludzie schodzą się zewsząd*)

GŁOSY Z TŁUMU I: Co to jest?

II: Trzy długie — wypadek?

III: Co się stało?

IV: Zraniło kogo?

V: Wypadek?

SLIWA: Towarzysze, przerywamy pracę.

KOLASOWA: Ludzie, co to znaczy?

STARY ROBOTNIK: Zbieramy się na wiec?

KOTLARCZYK: Co za wiec? Kto się zbiera?

WDOWIAK: Towarzysze, musimy się naradzić. Przerwać pracę.

SLIWA: Ludzie, zwołajcie inne oddziały tutaj. Niech przyjdą wszyscy.

STARY ROBOTNIK: A gdzie Brzoza?

ZAWADA: Będziemy mówić o budowie.

KOBIETA I: Narada produkcyjna — znowu?

KOBIETA II: Nie, tylko wciąż zebrania a zebrania.

SLIWA: A pogadamy, towarzysze, i o Brzozie, i o demontażu, i o wszystkim. Dość już nas kołowali. Hej tam, zawołajcie naszego pana dyrektora Franusia Brzozę. Zapytamy go o niejedno.

SĘDZIK: Towarzysze, co to znaczy? Kto dał sygnał? Kto zwołał ten wiec? No, pytam się, kto?

SLIWA: Załoga.

SĘDZIK: To wy, Sliwa?

SLIWA: Nie ja, ale mówię: my — załoga fabryczna.

SĘDZIK: Towarzysze, mamy Radę Zakładową, mamy Związek Zawodowy, mamy Egzekutywę Partijną. Mamy swoje wybieralne przedstawicielstwa. Która z tych organizacji zwołała to zebranie?

SLIWA: Radę Zakładową, mówicie? Tak jest, wybieraliśmy Radę Zakładową i naszego przewodniczącego Rady — Wojciecha Matusiaka. Gdzie on jest? Coście z nim zrobili? Przegnali z fabryki, tak? Jakżeście go wygnali, to nie ma przewodniczącego, to nie ma Rady. I my zwołaliśmy sami bez Rady zebranie.

SĘDZIK: Sliwa, niebezpieczną robotę robicie, ostrzegam was.

KOBIETA I: Słyszycie, grozi nam.

SĘDZIK: Nie, nie grozę, ostrzegam.

SLIWA: A ja się nie boję. Ja tu na tej fabryce pracuję dwadzieścia lat i nie bałem się. Zresztą ja niczego nie chcę, ja tylko chcę zapytać o parę rzeczy. Ale, towarzyszu Sędzik, ja chcę się pytać was, nie w waszym

lokalu partyjnym ani w Radzie Zakładowej, ani w dyrektorskim gabinecie naszego dyrektora Brzozy, tylko tu, przed wszystkimi, chcę pytać.

SĘDZIK: Dobrze. Pytajcie.

BRZOZA (*wchodzi*): Co się tu dzieje, towarzysze?

GŁOSY Z TŁUMU I: Dyrektor.

II: Przyszedł Brzoza.

III: Cicho.

STARY ROBOTNIK: Niech mówi Sliwa.

KOBIETA II: Ej, ludzie, będzie jakaś awantura.

GŁOS Z TŁUMU I: Nie podoba mi się to.

II: Cicho.

BRZOZA: Co się tu dzieje, towarzysze?

SĘDZIK: Sliwa samowolnie zwołał zebranie i mówi, że ma mnie o coś pytać, więc...

WDOWIAK: Nie Sliwa, tylko my wszyscy.

BRZOZA: Staszek Sliwa, Staszek zwołał zebranie? Ty?

SLIWA: Tak, i będę pytał. Ja chcę wiedzieć, jaka jest prawda. Nie występuję przeciw władzy ani przeciwko rządowi, ani przeciwko Partii, ale chcę wiedzieć i ludzie chcą wiedzieć, gdzie jest prawda.

BRZOZA: No gadaj, o co chodzi?

SLIWA: Po pierwsze. Demontujemy fabrykę, czy tak?

BRZOZA: Tak jest. Omówiliśmy to na ogólnym zebraniu załogi przed trzema miesiącami. Omówiliśmy

wszystko dokładnie, co i jak. Byłeś na tym zebraniu, słyszałeś? Byłeś, pamiętam cię. Ale wtedy nie gadałeś nic.

SLIWA: Mówiliście nam wtedy, że maszyny pójdą do Częstochowy, a zbędni fachowcy, jeśli będą chcieli, dostaną mieszkania w Zabrze, Katowicach, we Wrocławiu. Czy tak?

BRZOZA: Tak jest.

SLIWA: I co, gdzie idą maszyny — do Częstochowy?

BRZOZA: Tak. Do Częstochowy.

SLIWA: Kłamstwo. Towarzysze, słuchajcie. Pierwsze kłamstwo. To nieprawda. Widziałem dzisiaj na własne oczy listy przewozowe — na własne oczy. Widziałem, te maszyny, nasze maszyny idą gdzie indziej, towarzysze.

BRZOZA: Staszek. Czyś ty zdurniał, czy co? Gdzież one mają iść, jak nie do Częstochowy — no. Gadaaj, gdzie?

SLIWA: Zaraz powiem, gdzie idą. Ale wpierw drugie pytanie. Gadałeś ludziom, że fachowcy mają dostać mieszkania i robotę na Śląsku. Wyjechali: Porębski, Jakuta i Ziolek. Pojechali niby do Wrocławia, a ja się ciebie, Brzoza, pytam, gdzie oni są?

ZYGMUNT: A gdzie? Na księżycu?

SLIWA: No, no, może się dowiemy. Bo ja wiem. A jeszcze jedno pytanie, ostatnie pytanie, co jest z Wojciechem?

HANKA: Ludzie, tatuś jest w domu. Sam chciał. I...

GŁOSY Z TŁUMU I: Cicho, co jest?

II: Niech Sliwa mówi.

III: Dobrze pyta, chcemy wiedzieć, gdzie Wojciech?

SĘDZIK: Towarzysze, myśmy pozwolili Sliwie zadać te pytania, wy teraz pozwólcie, że ja wam na nie odpowiem.

SLIWA: Zaraz. Przepraszamy was, towarzyszu, ale może by odpowiedział nam na to wszystko on — Brzoza, co? Przecież to nasz dyrektor, przecież on z nami te maszyny remontował i uruchamiał, przecież on z Wojciechem — jak mówili obaj — w obozie na jednej przyczepie spał, przecież on nasz robotniczy dyrektor, wybrany przez nas, nie? Niech on odpowie, co zrobił z naszymi maszynami, z naszymi ludźmi, z Wojciechem?

BRZOZA: Tyś najpewniej, Staszku, zwariował. Do szczytu zwariował. Nie wiem, co ci padło na mózg. Ale jakżeś ty już przed ludźmi zaczął...

GŁOS Z TŁUMU I: Niech mówi Brzoza.

WDOWIAK: Nie wydziwiaj od wariatów.

Z TŁUMU: Chcemy wiedzieć.

BRZOZA: Tak jest, towarzysze, na wszystko odpowiem, ale wpierw ja muszę Sliwę o jedno zapytać.

GŁOS Z TŁUMU I: Wpierw ty odpowiedz.

KOLASOWA: Cicho, ty. Sliwa się wygadał, Niech Brzoza mówi.

PAWEŁ (*przepycha się przez tłum*): A ty, Kolasowa, siedź cicho. Napyskowałeś się dość.

STARY ROBOTNIK: Cicho, niech mówi Brzoza.

BRZOZA: Znaćcie mnie, towarzysze, nie kłamałem nigdy nikomu z was, ale Sliwa o jednym nie wspomniał, od kogo on te sensacyjne wiadomości o tych maszynach, o tych ludziach, o tym wszystkim...

GŁOS Z TŁUMU I: Wojciech, Wojciech.

WOJCIECH: Towarzysze, co tu się dzisiaj na fabryce dzieje? Przyleciał do mnie Paweł, gadał jakies... takie draństwo — ja...

BRZOZA: Chwileczkę — Wojciech. Tu bracie, Sliwa zwołał wiec. Nie wiem ja, kto tu dziś udziela głosu, może Sliwa, ale, Wojciechu, ja mam teraz mówić, a potem powiesz ty. I dobrze, że jesteś, bo mi się wydaje, że to nie zebranie, ale sąd. Sąd między nami, Wojciechu. Przed ludźmi. Do tego doszło. Towarzysze, Sliwa przed chwilą zadał mi kilka pytań. Jest dla mnie jasne, że pytał, bo mu ktoś do głowy nakładł jakichś bredni, jakichś kłamstw. Na wszystko odpowiem, ale chcę wiedzieć, kto tobie, Sliwa, powiedział tę, jak mówisz, prawdę o maszynach, o ludziach, o Wojciechu. Mów.

SLIWA: Naprzód ty odpowiedz.

BRZOZA: Mów. Kto cię tak poinformował, no? Może Wojciech?

WOJCIECH: Co ja? Co ja ci mówiłem? W co wy mnie wrabiacie?

BRZOZA: Powiedziałem ci już, ty wpierw odpowiedz.

SĘDZIK: No, Sliwa, mówmy szczerze, jasno. Chcemy wiedzieć wszystko.

BRZOZA: Słuchamy.

WDOWIAK: Gadaj, Sliwa.

GŁOSY Z TŁUMU I: Brzoza wpierw.

II: Nie, niech Sliwa mówi.

III: On nas tu zwołał, niech gada, co wie, do końca.

KOTLARCZYK (*ironicznie*): A czy ty, Sliwa, czasem pracownikiem administracyjnym nie chcesz zostać, co? Bo ja dzisiaj już myślałem, że ty na kurs chodzisz, że ty na urzędnika studiujesz. Od kilku dni konferencje przeprowadzasz w swojej narzędziowni, może ty z tych konferencji wszystko wiesz, co?

SLIWA: Ty, Stefan, odczep się ode mnie.

KOTLARCZYK: No, a jak? To on ci nic nie gadał? Ja wam, towarzysze, za Sliwę odpowiem. Ja już od kilku dni widzę, że tu taki jeden między ludźmi lata, do ucha szepce, „konferuje“, naradza się — i złą krew robi. A najwięcej ostatnio ze Sliwą konferował. Pewnie to on, ten informator.

BRZOZA: Kto?

KOTLARCZYK: A ten... jak mu tam... jeszcze świętej pamięci Zawadowskiego kumpel... administrator Wiśniewski.

GŁOS Z TŁUMU I: Wiśniewski?

II: Ten elegant z morskiej piany?

III: Racja, włóczy się po oddziałach. Między ludźmi.

IV: Tak racja.

WOJCIECH: No gadaj. Jakes zaczął czekać, to kończ. Gadaj — mówię.

SLIWA: Ty... Wojciech... na mnie się porywasz?

WOJCIECH: Gadaj. Wiśniewski tu był? Rozmawiał z tobą?

BRZOZA: Zaraz to sprawdzimy, towarzysze. Zygmunt, Władek, lećcie do biura, poproście pana Wiśniewskiego tu, na miejsce. Ale już. I jeszcze kasjera tu poproście. Niech przyniesie listy przewozowe maszyn, a na moim biurku leży kartka od Jakuty z Wrocławia. Zaraz, towarzysze, sprawdźmy, co i jak, będziemy wiedzieć, gdzie prawda. Zrobimy konfrontację. Na naszych robotniczych zebraniach zaocznie się nie gada. (*Zygmunt i Zagaj wychodzą*)

WOJCIECH: Ja proszę o głos. Nim przyjdzie tamten, ja bym chciał wam, towarzysze, powiedzieć, że jak dziś przyszedł do mnie Paweł, to ja dopiero teraz zrozumiałem mój błąd, towarzysze. Mój ciężki błąd. Jak mi dzisiaj ten Paweł wyłożył to, z czym przyszedł, jak mi przyniósł te swoje propozycje, te swoje draństwa, to mówię wam, towarzysze moi, o mało mnie jasna krew nie zalała. Coście wy ze mnie zrobili, wy? Z mojego ciężkiego odejścia stąd wyście se zrobili reakcyjną drakę? Bunt? Jakem stąd wyszedł, nie chciałem na nikogo patrzeć, nie chciałem z nikim gadać, ja tam u siebie w izbie słyszę w nocy, jak fabryka idzie, ja tam się ciężko łamałem, a wy tu plotki robiliście na mnie? Rozruch planowaliście? Strajk? Przeciw komu? Przeciwno naszej władzy ludowej? I wy mnie chcieliście w to wszystko wciągnąć? Ach wy... To mnie po to bili pałkami, to mnie po to w lagrze na mrozie wodą lali, to ja po to budowałem tymi rękami to wszystko. To towarzysze, i ja chcę z wami budować tamto, nowe. I wyście mnie chcieli przeciwko temu wszystkiemu, przeciwko Brzozie, przeciwko socjalizmowi na waszego przywódcę zaawansować? Wy?

BRZOZA: Wojciech, Wojtek...

HANKA: Tato.

WOJCIECH: Ja myślałem, że ja za was wszystkich cierpię. A wy...

KASJER (*wchodzi*): Ja proszę państwa... Pan dyrektor prosił... o listy... Przyniosłem... tu są...

SĘDZIK: Dajcie tu te listy. Dziękuję. Towarzysze, oto ostatnie listy przewozowe: wagony nr. nr. 72345, 78003, 5427; zawartość: maszyny; stacja wyładowania: Częstochowa, Częstochowa, Częstochowa, patrzcie.

GŁOSY Z TYŁU I: No i co, Śliwa, gadaj.

II: Częstochowa, pewnie, że Częstochowa.

III: Ale ci urządził drakę.

IV: Czego on chciał?

V: Zwariował chłop, czy co?

ZAWADA: Staszek, co to znaczy, mówileś nam przecie...

WDOWIAK: Mówileś, że masz ten papier.

ŚLIWA: Zaraz przyjdzie Wiśniewski, potwierdzi sam.

ZAWADA: Jaka to była huta? Mówileś, że na szmelc.

ŚLIWA: Idzie. Wyjaśni się wszystko. A zresztą sprawa Jaśka Jakuty jest niejasna.

Zygmunt i Zagaj wprowadzają Wiśniewskiego.

ZYGMUNT: Tu proszę. Prosimy bliżej.

ZAGAJ: Towarzyszu dyrektorze, sprowadziliśmy go.

KOTLARCZYK: Serdecznie witamy. Prosimy bliżej na konferencję.

ZYGMUNT: Opierał się. Nie chciał iść z nami. Mówił, że ma pilny interes na mieście.

BRZOZA: Panie Wiśniewski.

WISNIEWSKI: Szedłem do... do... Urzędu Skarbowego. Ale ja protestuję, panie dyrektorze. Ja zdecydowanie protestuję przeciwko takiemu traktowaniu. To bezprawie. Panowie mnie napadli, sprowadzili tu, to gwałt — ja sobie to wypraszam.

ZYGMUNT: Ależ pyskacz.

BRZOZA: My tylko mamy małą sprawę do wyświeślenia. Czyście to wy informowali Śliwę o tym, gdzie idą maszyny?

WISNIEWSKI: Ja? Skądże. Pierwszy raz w życiu słyszę. Maszyny? Jakie maszyny?

ŚLIWA: Co? Pokazywaliście mi dzisiaj fracht.

WISNIEWSKI: Fracht? Ja... jaki fracht?

ŚLIWA: Ty nie rób ze mnie wariata, bo...

WISNIEWSKI: Żadnego frachtu wam nie dawałem. Nie wiem, czego pan się czepia. Nie miałem żadnego listu, nie panu nie pokazywałem. To kłamstwo.

ŚLIWA (*wyjmując z kieszeni papier*): Nie pokazywałeś, a to co?

SĘDZIK: Śliwa, pokażcie to. List przewozowy... maszyny... Huta Bobrek... szmelc... co to znaczy?

BRZOZA: Co to jest, panie Wiśniewski?

KASJER: Najmocniej przepraszam pana dyrektora, ale czy mógłby mi pan na chwilę pokazać ten dokument. Bo ja, proszę panów, też mam swój fach i... tak... zobaczymy... a no tak... to, proszę państwa, jest fracht, że tak powiem — nieformalny.

BRZOZA: Kto go wystawił?

KASJER: Tego z całą pewnością powiedzieć nie mogę. Ale sądząc z tego śmiesznego zawijasa, którym ozdobiono na tym podrobionym dokumencie moje skromne nazwisko, zawijasa, który podobny jest do podpisu pana Wiśniewskiego...

WISNIEWSKI: Bezczelność — wypraszam sobie, panie kasjerze.

KASJER: Zaraz, zaraz, chwileczkę. Ja tylko pozornie żartuję. Ja w istocie jestem oburzony. To jest fałszerstwo, słyszy pan, panie Wiśniewski? To jest fałszerstwo, podrobienie mojego podpisu. Kodeks karny w paragrafie 183...

ŚLIWA: Ach tak, toś ty, draniu jeden...

SĘDZIK: Zaraz, Śliwa. Robi się jaśniej. Panie Wiśniewski, i jeszcze jedno: a kto rozpuszczał wśród załogi wiadomości o Wojciechu, o Porębskim, o Ziółku, o dyrektorze Brzozie wreszcie, kto?

WISNIEWSKI: Ja... ja... o niczym nie wiem, z nikim nie rozmawiałem. Żadnych wiadomości... nie kolportowałem.

GŁOSY Z TŁUMU I: Ach, drań. To ci menda sakramencka.

II: Łgarz.

III: Chodził i gadał.

IV: Tak jest.

V: Gadał.

ZAWADA: Ty mnie nie mówiłeś o Porębskim, nie?

WDOWIAK: A o maszynach nie mówiłeś pan? Na własne uszy słyszałem. Ech ty, bo jak cię...

SĘDZIK: Towarzysze, spokój.

ZYGMUNT: Dyrektorze, ludzie! W jego kieszeni są jakieś papiery, które chował, kiedyśmy po niego przyszli. Niech pokaże.

WIŚNIEWSKI: To gwałt. Zabraniam. Protestuję. Nie macie prawa dokonywać osobistej rewizji.

KOTLARCZYK: Cicho, synku.

WIŚNIEWSKI: To jest przemoc. Do sądu zaskarżę.

KOLASOWA: To nie przemoc, panie Wiśniewski. To dyktatura proletariatu. Dalej — czytajcie.

SĘDZIK: Towarzysze. Tak. Więc to tak. Wszystko jest jasne. Patrzcie, przyjrzyjcie się dobrze. Oto: drugi list przewozowy sfalszowany — na maszyny tym razem do huty „Pokój“ ze specyfikacją — i napisane tu jest: szmelc. To też blankiet fałszywy, ślepy, nieważny. A to co — donos? Donos na Brzozę do Centralnego Zarządu, że co?... Dyrektor Brzoza wykazał brak wykształcenia fachowego, dopuścił do fermentu wśród załogi. Ha, ha, ha, słyszycie? Brzoza, słyszysz? (do Wiśniewskiego) Ach, ty durniu! Towarzysze, przyjrzyjcie się mu. Tak wygląda — tak może wyglądać wróg, klasowy wróg. Towarzysze, wołajcie straż.

BIELUŃ: Do czego pan doszedł, panie Wiśniewski!

Jak pan mógł, pan — człowiek inteligentny... To podłość.

SLIWA: Ja... ludzie... nie chciałem źle. Ja chciałem jak najlepiej... Bielmo miałem na oczach. Opętał mnie. Błądziłem. (chce odejść)

BRZOZA: Staszek, stój!

SĘDZIK: W sobotę mamy zebranie załogi. Ty, Śliwa, złożysz na nim samokrytykę.

SLIWA: Wybaczcie, towarzysze. Samokrytykę złożę.

BRZOZA: Towarzysze, to zebranie trzeba skończyć... Trzeba wrócić do pracy. Pracy mamy dużo. Przed nami Plan Sześcioletni. Nie wolno nam ustawać. Trzeba iść naprzód. Nikt nas w tym nie zatrzyma, towarzysze.

KOLASOWA: Towarzysze, zaśpiewajmy jak zawsze razem na zakończenie zebrania...

Śpiew: Wyklęty powstań ludu ziemi...

Kurtyna

KONIEC

Prapremiera sztuki
WANDY ŻÓŁKIEWSKIEJ

A W A N S

odbyła się w Państwowym Teatrze Powszechnym w Warszawie
pod dykcją Karola Borowskiego
dnia 24 lutego 1951 r. w następującej obsadzie:

Franciszek Brzoza, dyrektor fabryki
Wojciech Matusiak, robotnik
Hanka Matusiakówna, jego córka
Kolasowa, robotnica
Sędzik, sekretarz P.O.P.
Kotarba, sekretarz Komitetu Powiatowego
Zygmunt, młody robotnik, twórca bry-
gady awaryjnej
Kotlarczyk } robotnicy z brygady
Zagał } Zygmunta
Poreba }
Inżynier Bielut, kierownik produkcji
Wiśniewski, kierownik biura
Beata Sosnowska, urzędniczka
Kasjer
Delegat Centralnego Zarządu Przemysłu
Metalowego
Cieloch, dyr. naczelny CZPM
Zielny, inżynier CZPM
Śliwa, robotnik
Paweł
Zawada
Wdowiak
Stary robotnik
Kobieta I
Kobieta II

Tadeusz Bartosik
Mieczysław Serwiński
Maria Grabowska
Elżbieta Wieczorkowska
Bogdan Szymkowski
Czesław Byszewski

Tadeusz Kosudarski
Aleksander Piotrowski
Tadeusz Waczkowski
Bolesław Kostrzewski
Jan Kochanowicz
Antoni Kowar
Zygmunt Wojdan
Janina Poliakówna
Jerzy Bukowski

Norbert Nader
Tadeusz Kubalski
Jerzy Michalewicz
Mieczysław Orsza
Franciszek Lubelski
Seweryn Dalecki
Fabian Klebicz
Władysław Trojanowski
Irena Jaglarzowa
Wanda Sobańska

Robotnicy, robotnice

Reżyseria: Zbigniew Sawan

Scenografia: Andrzej Sadowski i Władysław Buśkiewicz